Nr. 35. Lwów, Niedziela dnia 28. Kwietnia 1878 r. **Tom VI.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

MIĘDZY LUDŹMI.

POWIEŚĆ

przez

BOLESŁAWA PRUSA.

(Ciąg dalszy.)

W godzinę po odejściu Antka, na Marcinowe podwórze wbiegł jakiś człowiek zziajany, rozgorączkowany i stłumionym ze wzruszenia głosem począł wypytywać piaskarza:

— A nie widzieliście, człowieku, takiego chłopca w czarnym paletocie i w czapce z daszkiem?

— Nie widziałem! — odparł Marcin robiąc na niego wielkie oczy.

— Ładny taki chłopiec, powiadam wam, cichy... Oj! jakże mi dech zapiera... Jaś mu na imię...

— Ani mi się śniło o takim! — mruknął niechętnie Marcin.

— Jak to może być?... — ciągnął dalej błagalnym głosem przybysz. Ludzie przecież spotykali go... tułał się w tych stronach... Alboż ja wiem, może i w Wisłę wpadł.

— Co miał wpaść? Przecież teraz Wisła stoi.

— To prawda! — mówił przybysz. — Pozwólcie mi tu spocząć trochę. Jak to może być, żebyście go nie widzieli, przecież taki znaczny chłopiec... Powiedział majster, że go okradł, a on by mu nawet krajki nie wziął. O jakżem się zmęczył!... Jakby tu przyszedł, to spytajcie, czy on Jaś i powiedzcie, że to Jędrek ukradł, że go szukam po całej Warszawie...

— Musi mieć kiepsko we łbie — pomyślał Marcin, który sam przecież nie odznaczał się geniuszem.

— Powiedzcie mu to, a Bóg wam wynagrodzi...

Z temi słowy zerwał się znowu i pobiegł jak pies, szukający zgubionego pana. Opuściwszy podwórze zatrzymał się jeszcze i przez parkan zawołał:

— A nie zapomnijcie, com wam mówił... Jaś mu na imię!...

Szukajcie królestwa bożego!

. . . .

Nakrzyczawszy się aż do chrypki i nasprzedawszy piasku co nie miara, Antek i Jaś jego oficyalista, kupili sobie nad wieczorem flaszkę piwa, pełne kieszenie bułek, pół funta *lakierosa* i weszli w ustronną uliczkę, celem zjedzenia kolacyi. Słuszność nakazuje wyznać, że Antek choć mały, wziął sobie większą i lepszą cząsteczkę, oddając Jasiowi prawie resztki. Na deser zaś począł sierotę obełgiwać:

— Wiesz ty łobuz — mówił — że Marcin jak się dowie o tem, żeśmy od innych piasek brali, to nam będzie chciał lanie zrobić?... Ale się nie bój! ja w tem jestem... Ho! ho! mówię ci, że jakbym ja się wziął do niego, toby się jeszcze nie obejrzał, a jużby na ziemi leżał. Ho! ho! ja mówię ci, tom w bitwie taki zawzięty, jak żyd w tańcu — a taką, mówię ci, mam moc, żebym zmógł sołdata z karabinem i z pałaszem.

— To czemuż ty sam piasku nie nosisz? — spytał Jaś.

— Eh!... bo ja tylko w bitwie taki. A wreszcie, mówię ci, że ja byle jakiej roboty nie lubię się podejmować. Kiedym pisma nosił, to nieraz gadali: żebyś ty Antek nie był taki złodziej, toby z ciebie był co dobrego — alem puścił pisma w trąbę!... to tylko czas zabiera. No, a teraz chodźmy na spacer.

I poczęli włóczyć się po mieście. Nagle Antek stanął przed kantorem wekslarza i wskazując na garstkę złota za oknem, rzekł:

— Wiesz ty łobuz, że to wszystko moje?

— Aa! — odparł Jaś z uśmiechem. — Roi ci się coś po głowie i tyle.

— Ma się wiedzieć, że moje, bo jak zechcę to ci się nie dam patrzyć. I powiedziawszy to Antek odepchnął swego oficyalistę od okna. W Jasiu krew zawrzała, tak więc za kark ścisnął swego pana, że ten aż się w kłębek zwinął, uwolniwszy się z trudnością, gniewnie zawołał:

— Aha!... To z ciebie taki zuch?... Spróbuj się ty tak ze mną jeszcze raz, a dam o tobie znać do cyrkułu, psia wiaro!...

Jaś usłyszawszy to, struchlał. Czuł on, że bezsilny chłopiec ten pobił go dyplomacyą i że wobec niego niczem jeszcze byli: p. Piotr, p. Karol, a nawet majster Durski. Około dziesiątej wieczorem, dwaj chłopcy, poszli znowu ku nadwiślańskiej dzielnicy. Tam przeleźli jakąś dziurę w parkanie i o kilka kroków od niej ujrzeli wielką beczkę po cukrze, która leżała poziomo.

— A co?... to ci spanie!... — szepnął Antek, włażąc pierwszy do tego osobliwego buduaru.

— Bój się Boga! — odezwał się Jaś drżący, — a jak nas tu kto złapie?

— To i cóż... nic nie ukradłem, nikogo nie zabiłem... Cóż mi kto zrobi! — odparł Antek.

Z ciężkiem sercem Jaś wgramolił się za nim i utonął w starej nawpół przegniłej słomie, pośród której znajdowało się jeszcze wiele innych rzeczy stanowiących to, co zwykle ludzie nazywają śmieciami.

Wkrótce zmęczenie pokonało wstręt i obawę, a w barłogu tym Jaś zasnął tak spokojnie i twardo, jak niegdyś w swojem rozsuwanem łóżeczku, ukołysany szmerem drzew i matczynej modlitwy.

Na drugi dzień jeszcze szaro było na dworze, gdy obaj chłopcy zerwali się i wymknęli przez ten sam otwór w parkanie, który im służył za wejście. Nawiasowo dodać należy, że tylko Jaś umył się i pacierz zmówił. Dla przyjemnego bowiem Antka, czystość duszy wystarczała najzupełniej. Tak samo dziś jak i wczoraj, Jaś nosił piasek, przedsiębiorca zaś Antek, kupował go lub brał na kredyt ze *składów,* starannie przytem omijając lepiankę starego Marcina.

— Nie chcę się z nim wadzić — objaśniał Antek.

Po posiłku wieczornym, złożonym z chleba, wędzonki i dwu pięciogroszowych butelek piwa *szlacheckiego*: dwaj nasi tułacze zetknęli się z innym chłopcem niejakim Walkiem, który zobaczywszy ich, zawołał:

— Chy!... Antek... Żebyś wiedział, jak się na ciebie Marcin wygraża? Mówi, żeś od niego wczoraj woreczki i powróz wymanił, że od innych piasek bierzesz a nie od niego i że ci tak mordy nakuje, aż parę wyplujesz!

— Co on tam głupi szczeka! — odparł pogardliwie Antek, poruszając jednocześnie plecami tak, jakby go mrowie przeszło.

Potem włóczyli się jeszcze jakiś czas we trzech, a gdy noc zapadła, rozweselony Antek krzyknął:

— Chodźtak kundle! pójdziemy na bal do resorsy.

— Na jaki znowu bal? — spytał Jaś.

— O Jezu! jaki on głupi... — pochwycił Walek. — Nibyto z wierzchu patrzy na *haleganta*, a nie wie, że to dziś przecie Sylwester.

Gdy stanęli pod resursą, Antek przysłuchując się dźwiękom muzyki i patrząc z otwartą gębą na oświetlone okna uronił następną głęboką uwagę:

— No, nie ma co mówić! Namarznie się człowiek, nie doje i nie dośpi, ale za to innym z siebie zrobi uciechy...

— Albo co? — spytał Walek.

— Jakże co?... przecież to oni tak *na nas* tańcują. Żeby nie my, toby tu w Warszawie żadnego balu nie było! — powiedziawszy to, schwycił Walka wpół i przy melodyi konredansa, począł z nim zapamiętale wywijać *szota*. Zrobił się skutkiem tego wielki rozgardyasz: dwaj tancerze bowiem potrącili jakąś staruszkę, sami co nie wpadli paniom pod nogi, a wreszcie dostawszy w kark od milicyanta i batem od woźnicy, zabrali ze sobą Jasia i poszli spać na zwykłą kwaterę. Tylko dla ścisłości historycznej dodamy, że już w drodze jeden z nich zarzucił drugiemu niezręczność tańcu, w następstwie czego pochwycili się za czupryny, aż ich Jaś musiał rozbrajać.

Była to dopiero pierwsza połowa przygód. Gdy bowiem doszli do swej beczki i gdy Antek jak zwykle pierwszy wsadził tam głowę, ze zgrozą i podziwieniem, dostrzegł w niej parę ogromnych i zabłoconych butów. Widok ten, takim gniewem napełnił ulicznika, że zapomniawszy o potrzebie ostrożności, wrzasnął na cały głos:

— Co tu jest?.. Wyłaź ztąd zaraz łobuzie!

— Cicho! cicho!.. — szepnęli Jaś i Walek.

— Co mam być cicho? — krzyczał łotr. — Zkąd on tu przyjechał? Jak wezmę, to pójdę na policyę, żeby do cyrkułu zaprowadzić tego złodzieja!..

W odpowiedzi na to, para butów poruszyła się leniwie, a w głębi beczki rozległ się jakiś głos chrapliwy i stłumiony:

— Nie zaczepiaj, pókim dobry!.. Bo jak cię chlusnę.

— Daj mu tam spokój, niech się wyspi... To jakiś pijany — upominał Walek.

— Co z tego, że pijany?.. Niech nie zabiera cudzego mieszkania złodzieisko! — mówił Antek chwytając najeźdcę za nogi.

W tej chwili jeden z ogromnych butów, zakreślając w powietrzu ćwierć okręgu koła, obtarł się o wyszarzany surdut i wiśniowy nos Antka tak energicznie, że aż chłopiec zatoczył się, a następnie kichnął parę razy.

— To ci go pożegnał, o Jezu! — mruknął Walek.

W beczce ciągle chrapało, co słysząc rozwścieczony Antek, odprowadził Walka na bok i szepnął mu parę wyrazów do ucha. Potem obaj ostrożnie zbliżyli się do beczki, schwycili ją za krawędzie, i szybko choć z ogromnym wysiłkiem podnieśli do góry, tak, że zawarty w niej pasażer, znalazł głowę w pozycyi, w której przeciętni mieszkańcy Warszawy zwykle utrzymują nogi.

— *Ollaboga!* stęknęło w beczce, a jednocześnie dwaj urwisze poczęli drzeć się w niebogłosy.

— Złodziej! złodziej!

A z beczki wtórował im gruby głos:

— Ratunku!.. morderstwo!

Po tym figlu, trzej mali tułacze uciekli za parkan, w lepiance zapłonęły światła, a na podwórze wybiegli jacyś ludzie z kijami, dążąc ku beczce, z której ciągle rozlegały się rozpaczliwe okrzyki i gwałtowne kołatanie.

Noc tę, pełną wrażeń, Jaś i jego towarzysze spędzili pod szopą na jakichś belkach.

— To tak jakbyś spał w karecie! — mówił Antek.

Nadszedł nareszcie nowy Rok, a Antek, który równo ze świtem zapomniał o bezsenności i trudach, utworzył na prędce małą radę wojenną.

— Ot co dziś, — mówił — to użyjemy jak psy w studni. — Będziemy winszować. Ty Walek pójdziesz ze mną, a ty Jasiek dasz mi twój paltok i czapkę...

— A w czemże ja będę? — spytał oburzony Jaś.

— A w moim surducie. Cóż to, może nie porządny? — ciągnął dalej wskazując na jeden cały rękaw. — No, zdejmuj, zdejmuj... bo jak nie, to zaraz pójdę do cyrkułu i powiem coś ty za jeden!

Napróżno biedny Jaś groził i prosił! Nie pomagało nic. Nikczemny Antek zdarł z niego prawie gwałtem paleto, spodeńki i buciki, i ze złośliwym śmiechem rzucił rzewnie płaczącemu, swoje ohydne łachmany. W końcu zapowiedział mu, aby nad wieczorem czekał go na Oboźnej ulicy, obok szynku.

Leniwie i wśród najczarniejszych myśli, zeszedł nieszczęsnemu sierocie ten smutny dzień, w którym za cały pokarm miał zeschłą skórkę chleba. Na umówionem miejscu Antek zjawił się dopiero około siódmej, a choć nic Jasiowi do jedzenia nie przyniósł, sam jednak był nadzwyczaj wesoły, ba! nawet dobrze pijany...

— Mówię ci, — prawił ten łotr — poszło mi jak po mydle!.. Wszędziem gadał, żem z Kuryera... Bo widzisz, zabrałem ci na drodze jednemu łobuzowi powinszowania..... Mam nawet jeszcze.....

Nie dokończył, w tej chwili bowiem dwie jakieś olbrzymie ręce schwyciły go i uniosły w powietrze.

— Gwałt! ratuj Jasiek!.. — wrzeszczał Antek.

— Oj dam że ja ci teraz! — mówił napastnik.

— Mój panie Marcinie! mój święty panie Marcinie! — wołał łobuz zanosząc się od płaczu.

— A masz worki!.. a masz powróz! a masz piasek!.. A nie mań ludzi uczciwych!.. a nie kradnij co nie twoje!.. Każdemu z tych wysoce moralnych napomnień towarzyszył świst jakoby rzemienia i klaśnięcia podobnego do tego jak gdyby rzemień gwałtownie stykał się ze skórą Antka. Trwało to dobry kwadrans z niewielkiemi przerwami.

Tymczasem Jaś, zobaczywszy o co chodzi i poznawszy w jaki to sposób walą piaskarze, uciekał pędem w stronę Krakowskiego przedmieścia, wyprzysięgając się z głębi serca służby u Antka, noclegu w beczce, a nawet swego ubrania. Teraz już nie wiedział co się z nim stanie, lecz wolał raczej więzienie i śmierć, aniżeli stosunki z indywiduami podobnemi do Antka.

Od kilku dni termometr trzymał się powyżej zera, na dworze było dość ciepło, śnieg i lód stopniał. W tej samej godzinie, w której Jaś uciekł od Antka, na miasto opadły kłęby pary, światła latarni wśród wilgotnej i niebieskiej mgły, podobne były do zawieszonych w powietrzu czerwonawych płomyków, a przechodnie wyglądali jak cienie. Na ulicach z powodu Nowego Roku, ruch był nie wielki, a mimo to jeszcze się zmniejszał. Około dziesiątej mgła podniosła się do góry, a jednocześnie począł padać deszcz, który stopniowo stał się bardzo obfitym i gwałtownym... Rynsztoki nabrzmiały i niebawem całą szerokością ulic zaczęły płynąć strumienie rzadkiego błota. Ludzie najedzeni i dobrze ubrani czas ten nazywali szkaradnym, dla obdartych i głodnych był on strasznym.

Od początku deszczu Jaś dostrzegł, że kapelusz i surdut Antka jakieś twarde dotychczas, robiły się coraz miększemi. Z pogiętego ronda woda zaczęła mu spadać na ramiona. Nagle uczuł na karku wielką kroplę deszczu, a gdy się wstrząsnął i ścisnął łopatki, kropla ta spłynęła mu na plecy. Z drugiej strony, mokre ubranie przylgnęło mu do całego ciała, a dziurawe buty napełniły się błotem. Wtedy przebiegł go lekki dreszcz...

Deszcz tymczasem wzmagał się ciągle, wiatr miotał nim na wszystkie strony; na kamienicach od dachów do podstaw porobiły się wilgotne smugi, ulice znowu opustoszały i zamarły. Jaś począł biegać od bramy do bramy, od framugi do framugi, szukając schronienia przed deszczem, który prześladował go z zaciętością żywej i złośliwej istoty.

— O Boże! ratuj mnie...— szepnął chłopiec, zakręcił się parę razy w kółko i znowu popędził naprzód. Zdawało mu się, że po tem czego dotychczas doświadczył, nie spotka już rzeczy gorszej. Obecnie jednak położenie było gorsze od wszystkich poprzednich; nie chodziło tu już bowiem o ucieczkę przed ludźmi ale przed naturą. Biegł zatem nie wiedząc gdzie, ścigany od deszczu, głodu i niedospanej nocy.

Około pierwszej, zmordowany bezużyteczną gonitwą, rzucił się na jakieś schodki. Trapiło go takie zimno, że zębami szczękał, a jednocześnie głowa mu pałała. Uczuł zawrót i ociężałość i wpadł na chwilę w stan bezwładu, środkującego między snem a zemdleniem.

Gdy wrócił do przytomności, zadziwił się, poznawszy, że cierpienia jego ustały. Miał tylko język suchy i bardzo spieczone usta, lecz za-

razem czuł jakiś błogi spokój i swobodę umysłu. Chwilami nie wiedział gdzie jest, chwilami sądził, że jest jeszcze w domu matki; maszyna znowu jak kiedyś turkotała i lampa świeciła jak dawniej.

To nie lampa, tylko latarnia uliczna, to nie turkot maszyny, tylko hałaśliwy szmer wody spadającej w kanał. Jaś przetarł oczy, chwilę popatrzył z uśmiechem na padający deszcz, bystre potoki wody i znowu począł marzyć. Zdawało mu się, że słyszy klekot młyna i przypomniał sobie, że w jednym z krzaków ogrodowych ma schowaną wędkę.

— Pójdę łapać ryby do stawu... — rzekł.

Świadomość znowu ostrzegła go, że to nie młyn klekocze, lecz gorączka pokonała świadectwo zmysłów. Otóż i ogród: jak tu pachnie!.. Wszystkie drzewa okryte są kwiatami a ścieżki suchym żwirem. Słońce pali tak, że Jaś jest cały mokry i musi oczy zamykać przed blaskiem. Gdy się ocknął, dostrzegł gazową latarnię i przekonał się, że migotliwy jej płomień drażni go. Zdawało mu się, że się cofa przed nim i kryje w lochu, w którym gospodyni utrzymywała mleko w hładyszkach. W piwnicy tej znalazł wszystkie dzieci: Antosię, Manię, Kazię i Józia. Ucieszył się tak, że aż klasnął w ręce, lecz zarazem przekonał się, że go nie widzą.

— No, nie udawajcie... nie sprzeciwiajcie się!.. — zawołał. — Lepiej dajcie mi trochę mleka, bom ogromnie zmęczony.

Ale dzieci nie słyszały go i wybiegły z lochu, a on za niemi. Obojętność ich tak go rozżaliła, że się chciał przed matką poskarżyć; począł więc jej szukać wołając:

— Mamo! mamo!

Ale i matka uciekała przed nim i kryła się tak, że jej żadną miarą dostrzedz nie mógł. Gonitwa ta wprawiła go nieledwie w szał; wyciągnął ręce i rzucił się naprzód.

Gdy mu przytomność wróciła, poznał, że jest na ulicy i że deszcz cokolwiek się zmniejszył. Przypomniał sobie swoje marzenia, lecz nie mógł pojąć, co to znaczy, ani zrozumieć, czy jest tym samym Jasiem, który biegał kiedyś po ogrodach i łąkach, uciekł od Durskiego i został obdarty przez Antka? Czuł, że stało się z nim coś nadzwyczajnego i że grozi mu jakieś wielkie niebezpieczeństwo. Nagle przyszedł mu na myśl wyraz: *śmierć*.

Śmierć w nocy, wśród pustego miasta, pod chmurnem niebem, na błocie, zdala od wszelkiej żyjącej istoty, z którą by się mógł pożegnać lub przynajmniej rzucić na nią ostatnie spojrzenie, jakaż to straszna rzecz... Dokoła niego jest tylu ludzi, a żaden z nich przecie ani pomyśli o tem, że o parę kroków nędzne dziecko ma umrzeć samotnie...

Ogarnęła go rozpacz; chciał pukać we drzwi i wołać: zlitujcie się nad konającym!.. Po chwili jednak uniesienie przeszło, a Jaś ruszył dalej i począł mówić podniesionym głosem:

„Kto się w opiekę poda Panu swemu..“

Stracił on już poczucie bytu, myśl niby gasnąca iskra, zwróciła się ku Bogu i matce, a sztywniejące nogi niosły go gdzieś... Gdzie?.. Zapewne do tej ciemnej i tajemniczej krainy, z której już nikt nie wraca!

Bez planu i wiedzy znalazł się w Alejach Jerozolimskich i szedł środkiem drogi, ku Wiśle, powtarzając dalej słowa prastarej pieśni:

„W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie“
„Pod Jego pióry ulężesz bezpiecznie...“

Zdawało się, że nawet ponure niebo leje łzy nad tym atomem żyjącym, który jak umiał polecał stwórcy duszę pełną żalu, boleści i niewymownej trwogi.

W tej samej godzinie, tąż samą Aleją Jerozolimską, powracały ku domowi jakieś dwie osoby, skurczone pod jedwabnym parasolem.

— Obrzydliwe powietrze! — mówił mężczyzna. — Trzeba jeszcze, żebyśmy też ani kawałka dorożki nie znaleźli...

— Widzisz Karolu, a radziłam ci, żebyś powóz wynajął — odparła niechętnie kobieta.

Nagle oboje stanęli, zobaczywszy na środku drogi mały skulony cień, który się zwolna posuwał naprzód i mówił:

„Na żadną trwogę, ani dbaj na strzały,
„Któremi sieje przygoda w dzień biały.“

— Czy uważasz, kochana, jakie to rozrzewniające?.. — spytał mężczyzna. — Ubogi chłopczyk, który wśród nocy wraca zapewne do domu i modli się... Doprawdy, że to bardzo piękny obraz... Dziecko to, tak mnie zainteresowało, że... że... pragnąłbym się niem zająć... Musi to być jakaś poczciwa istotka.

— Daj pokój, mój Karolu! — zgromiła go dama. — Że się też ty jeszcze nie zniechęcił do interesujących dzieci, mimo tak przykrego doświadczenia...

— Ale bo sama powiedz jakie to piękne! — mówił jegomość stojąc ciągle w miejscu i patrząc:

Słuchaj co wielki Bóg zapowiada..

doleciał ich oddalający się i słabnący głos dziecka.

W tej samej chwili w stronie Wisły rozległ się potężny łoskot, podobny do uderzenia piorunu.

— Co to jest?.. — zawołała przestraszona dama.

Łoskot powtórzył się znowu i prawie natychmiast zawtórował mu jakiś niezwykły szum:

— Ach!... to Wisła puszcza — odpowiedział jegomość. — Jesteśmy zatem świadkami dwu bardzo ładnych zjawisk...

I mówiąc to bez względu na niecierpliwość żony, patrzył wciąż za chłopcem, który modlił się i omdlałym krokiem szedł dalej. Wyminął Nowy Swiat, modlitwa stopniowo cichła i tylko przez parę minut jeszcze, przy słabem świetle latarni, widać było cień drobny, chwiejący i nad wszelki wyraz posępny.

Jaś tymczasem szedł, szedł, szedł!.. nie słysząc pękania lodów, nie czując deszczu i nie wiedząc, że zainteresował miłosiernego Karola. A Wisła ryczała, pieniła się i zgrzytała lodowatemi zęby, jak potwór gniewający się, że ofiara przeznaczona mu na pastwę jest jeszcze tak daleko!...

O tej samej porze, po całodziennych, a zawsze bezskutecznych poszukiwaniach, Ignacy Panewka wrócił do swej izby, na czwarte piętro jednego ze staromiejskich domów. Każda kropla deszczu uderzająca w szybę, padała mu na serce jak roztopiony ołów. Chciał się położyć, lecz sen ze znużonych powiek płoszyły jakieś straszne widzenia. Chciał siąść, lecz nieznana moc zepchnęła go z krzesełka i przeganiała po stancyjce srogiemi biczami niepokojów. Wreszcie, jakby mu powietrza zabrakło, poskoczył do okna i gwałtownie otworzył je na rozcież. Potem uchylił głowę i strwożony, obłąkany prawie, rzucił nie wiadomo komu pytanie:

— Co to jest?..

— Kra idzie!... — odpowiedziały mu zgiełkliwe a nieludzkie głosy od strony Wisły.

Panewce zsiniały usta i rozszerzyły się źrenice.

Cofnął się od okna, i wołając:

— Jasiu mój! Jasiu!... gdzie ty jesteś!..— upadł na ziemię i tarzał się w prochu. Zdawało mu się, że ten odległy szum i łoskot, to zwiastuny jego śmierci. W gorączkowym obłędzie czuł, że go kra miażdży a woda zalewa.

Miałożby się to dziać z Jasiem w tej chwili?... (Dok. nast.)

TRZY BITWY I ŚMIERĆ WODZA.

II. Bitwa pod Wilnem w 1831 r.

(Dokończenie).

Tak więc na górach Ponarskich Moskale mieli 18 bat. piechoty, 35 szwadronów kawaleryi i 56 dział, a zatem więcej jak 17 tysięcy starego wojska. W Wilnie zostawiono Chrapowickiemu 7 tysięcy, z których 4 tysiące wysłał za Zielony most, na wzgórza, otaczające Wilno z północnej strony, dla działania przeciw Dembińskiemu, którego oczekiwano z tej strony. Kilka polowych fortyfikacyi wzmacniało pozycye tych wojsk; 2 tysiące zostawiono w mieście dla powstrzymania od powstania, a tysiąc ludzi wysunięto na Pohulankę, w południowej stronie miasta, dla podtrzymania związku z głównemi siłami.

Rozpatrując pozycyę zajętą przez Moskali, widzimy, że za pierwszą linią znajdował się bardzo spadzisty parów pokryty krzakami i drzewami, a jedyna linia odwrotu po dolinie Wilii znajdowała się na prawem skrzydle. W wypadku niepowodzenia piechota z trudnością mogła odstąpić, lecz dla kawaleryi i artyleryi środka i lewego skrzydła nie było odwrotu żadnego. Gwardyjskie bataliony prawego skrzydła, postawione w wąskiej kotlinie między spadzistem zejściem z gór i brzegiem rzeki, wprawdzie były zakryte od wzroku i od strzałów, lecz były prawie pozbawione możności podać pomoc wojskom prawego skrzydła znajdującym się na przodzie, a gdyby nieprzyjaciel zgniótł lewe skrzydło, mógł je odciąć od Wilna i rzucić w Wilię, głęboką i szeroką w tem miejscu. Środek wzmocniony bateryami krzyżowym ogniem ostrzeliwającemi drogę kowieńską, był najsilniejszą częścią pozycyi moskiewskiej; lewe zaś skrzydło, chociaż wzmocnione kilku lunetami zbudowanemi na prędce, było najsłabszą częścią.

Gdyby Polacy, otrzymawszy od jednego z mieszkańców Wilna szczegółowy plan rozkładu wojsk i fortyfikacyi na górach Ponarskich, zeszli z kowieńskiej drogi w prawo na Burbiszki i Podgórze, to zmusiliby Moskali do zmiany frontu w najniekorzystniejszych warunkach i zniszczyliby wszelkie przygotowania Sakena i Kuruty, którzy czekali Polaków z zachodu i stosownie do tego rozstawili swe wojsko. Ruchem tym Polacy od-

*

cinali Sakena i Kurutę od Chrapowickiego i Tołstowa.

Saken wybrał taką pozycyę, na której musiał wygrać koniecznie lub zginąć i stawił wszystko na jedną kartę, bez żadnej potrzeby, bo z tyłu znajdowała się wielka równina dozwalająca Moskalom skorzystać z ogromnej ilości kawaleryi i stanąć bliżej od Wilna, żeby przyciągnąć do siebie te wojska, które musieli pozostawić Chrapowickiemu, lub żeby mu dopomódz w razie powstania w mieście.

Siły Polaków były następne: U Giełguda 9 tysięcy, u Chłapowskiego 2 tys., u Dembińskiego 2.500 i 4 tys. powstańców, źle uzbrojonych, lecz na oko przynajmniej zwiększających liczbę wojska. Po przybyciu zaś Zaliwskiego z 1500 powstańców, siła cała wynosiła 19 tys. żołnierzy przy 20 działach. Bataliony miały od 600 do 800 ludzi, a szwadrony od 140 do 160 koni. Po oddzieleniu Dembińskiego Giełgud posiadał 16 tys. wojska.

Moskale mieli więcej kawaleryi i artyleryi jak Polacy, ilość zaś piechoty była jednakowa z obu stron, jednak położenie Moskali na Ponarskich górach i w Wilnie było bardzo niebezpieczne. Pomimo wyjścia z miasta młodzieży uniwersyteckiej, tego najgorętszego elementu, Wilno mogło powstać lada chwilę i utrudnić działania choć na tyle, żeby Moskale nie mogli odesłać do miasta żadnego furgonu, żadnego rannego. Przy takiem położeniu armii, nieudanie się bitwy mogło być dla niej fatalnem, bo jak przed bojem tak i w czasie walki każdy dowódzca, każdy żołnierz widział w jakiej znajduje się połapce.

Jeżeli pomimo liczebnie silniejszego nieprzyjaciela Giełgud koniecznie chciał z nim w bój wstąpić, to działając szybko i energicznie i obchodząc lewe skrzydło pozycyi, miał jeszcze wiele szans wygranej. W każdym razie ruch ten nie był niebezpieczny, bo w wypadku przegranej wszystkie drogi do odwrotu były swobodne, wtedy gdy Moskale stanąwszy na Ponarskich górach sami sobie przecięli możność odwrotu.

Na radzie wojennej zebranej 19go, na propozycyę Chłapowskiego w samej rzeczy postanowiono atakować lewe skrzydło Moskali i obejść Ponarskie góry, lecz atak ten zacząć nie wcześniej, aż po wzięciu przez Chłapowskiego pierwszych schodów amfiteatru, na którym stało centrum Moskali. Roland zaś powinien był atakować prawe skrzydło nieprzyjaciół, a w razie udania się ataku odciąć drogę odwrotu lewemu skrzydłu i środkowi. Tak więc słabsza co do sił armia, miała zadanie zaatakować nieprzyjaciela z dwóch skrzydeł!

O 9ej z rana armia polska wyruszyła naprzód. Gdy już ujrzano pozycyę moskiewską, Chłapowski jeszcze raz podjechał do Giełguda z prośbą nie odważać się na bitwę, a wskazując na kaplicę, około której stała taka masa artyleryi, dowodził jak trudno zdobyć tę pozycyę, lecz Giełgud wrzał z niecierpliwości i pragnął boju, chcąc naprawić poprzednie swe omyłki, dla tego też z lekceważeniem i pogardą odrzekł: „Panie generale, jeden 7 pułk nasz odbierze u nich tę pozycyę.“

Wojsko polskie było pełne otuchy i chęci odznaczenia się w oczach Litwinów, przy wzięciu ich stolicy. Zmusiwszy awangardę moskiewską do odwrotu, polska armia stanęła do boju i główny atak poprowadziła na środek pozycyi, na kaplicę. Lecz gdy pierwszy atak został odparty, Roland rozsypał strzelców i zawiązał tyralierkę z Moskalami. Dowódzca artyleryi, pułkownik Piętka, starał się wywieść na pozycyę całą artyleryę, lecz gdy w czasie marszu dwa działa zostały zdemontowane przez artyleryę moskiewską, chcąc więc ją ukryć lepiej od w roku nieprzyjaciół, rozrzucił całą swą artyleryę w lesie na wielkiej przestrzeni, tak że pozbawił się możności ześrodkowania ognia na jakimkolwiekbądź punkcie.

Chłapowski wypełniając przyjęty plan, wysłał Zaliwskiego i Matuszewicza z ich powstańcami i jeden batalion czwartego pułku strzelców w prawo dla atakowania Moskali z lewego skrzydła i z tyłu. Zamiast pozostawienia Rolanda jego przemyślności a podtrzymania ataku tego, Giełgud widząc nieudanie się ataku Rolanda, zmienił plan uchwalony i rzucił wszystkie pozostające mu siły na pomoc jemu. Tymczasem Roland nie wiedząc gdzie schować swe wojska wystawiony na krzyżowy ogień moskiewskich bateryj, stracił głowę zupełnie i zaczął pchać batalion za batalionem w kotlinę Wilii dla ataku gwardyjskich wojsk. Drugi polski pułk strzelców odparty przez gwardyjski wołyński pułk, rzucił się na strome boki gór, gdzie go przyjął ogniem gęsty łańcuch strzelców schowanych w krzakach. 7 liniowy pułk i część czwartego strzelców poszły do ataku, lecz widząc ucieczkę żołnierzy drugiego pułku, zatrzymały się w marszu i stanęły pod frontowym ogniem moskiewskiej artyleryi, przezco w bardzo krótkim przeciągu czasu stracili daleko więcej ludzi jak można było stracić w najkrwawszej walce na bagnety.

W tymże czasie Matuszewicz z batalionem 4 pułku strzelców i niewielką liczbą ochotników wziął Podgórze, na tyłach Moskali, a Zaliwski wdrapał się na wzgórza lewego skrzydła Moskali i po kilku odbitych atakach, owładnął lunetami i trzymał się w nich nie mając artyleryi i odpierając silniejszego w siłach wroga ogniem karabinowym i bagnetami. Przeszło już trzy godziny trzymał się Zaliwski oczekując z niespokojnością, czy nie nadejdą posiłki obiecane mu, a szczególnie artylerya, lecz nikt a nikt nie przychodził, a nawet huk strzałów w tej stronie umilkać zaczął. Oto co tam zaszło:

Po nadludzkich wysiłkach trzech starych pułków przeciw pozycyi bronionej 40 działami, nie było już wojsk dla ich poparcia. Łączność i jedność znikły; wszystkie rezerwy już były zdezorganizowane i przechodziły z prawa na lewo, naprzód i w tył, bez celu. Kawalerya tylko Chłapowskiego była jeszcze nietknięta. Chłapowski wyjechał naprzód i stanął pod gradem kul i kartaczów, uśmiechając się pogardliwie i nie robiąc żadnych rozporządzeń. Giełgud zaś, pod którym już dwa konie zabito, latał na wszystkie strony, posyłał rozkazy, których nikt nie słuchał i zupełnie stracił pojęcie, co mu czynić należy.

Saken obaczywszy, że wskutek ataku na oba skrzydła polska armia rozdzieliła się tak, że w środku utworzyła się znaczna luka, bo mająca więcej jak milę; o godzinie pierwszej po południu zdecydował się sam zaatakować Polaków, żeby rozdzielić ich siły na dwie części. Sześć batalionów w kolumnie do ataku, postawione około kaplicy, ruszyły naprzód z gór, a za niemi wyszła kawalerya, która dotychczas była bezczynna.

Zobaczywszy to Giełgud wszystkich swych adjutantów posłał z rozkazami odwrotu, a sam ierował się ku obozom galopem. Nowobrańcy widząc następujące masy Moskali, zaczęli pierzchać, rozbite bataliony Rolanda zachowywały jeszcze pewny porządek i odstępowały odstrzeliwając się. Zaliwski i Matuszewicz jeszcze się trzymali na zajętych pozycyach. Lecz w jednej chwili wszystko mogło się zmienić w bezładną ucieczkę. W tę krytyczną chwilę Chłapowski jakby się obudził, rzucił się do swoich czerwonych ułanów, którzy spokojnie stali wśród potoku uciekających i ten pułk uratował cały korpus od zniszczenia kompletnego. Znakiem szabli poruszył go naprzód i Oremburski ułański pułk rozbity zupełnie pierzchnął w nieładzie. Ułany nalecieli na artyleryę, zaczęli rąbać artylerzystów i wzięli dwa działa. W tej chwili pułkownik Lachman z 3 szwadronami świeżej kawaleryi rzucił się swoim na pomoc, lecz został odbity przez kaliskich ułanów. Ten świetny atak polskiej kawaleryi zmusił Sakena do powstrzymania marszu zwycięzkiego, a polska armia nieco uporządkowana w tym czasie zaczęła swój odwrót w większym porządku, zasłaniając się jednym batalionem 7 pułku, 1 ułańskim pułkiem i 2 działami.

Moskale pędzili nie daleko, i nie doszli nawet do r. Wakki, bo Kuruta oczekując na drugi dzień przybycia starszego od siebie jen. Tołstoja, nie chciał zaczynać stanowczych kroków nie porozumiawszy się z nim. Tak przynajmniej mówiła relacya Kuruty, nam się zaś zdaje, że pozwolono Polakom odejść spokojnie dla tego, że Kuruta nie spodziewał się nigdy takiego świetnego zwycięztwa, więc uszczęśliwiony o 6 godzinie wieczorem kazał wojskom wrócić na dawne pozycye, na góry Ponarskie.

Od rana Zaliwski i Matuszewicz bili się nie wiedząc, co się dzieje na drugiem skrzydle. Giełgud i Chłapowski zapomnieli uwiadomić ich o swoim odwrocie, tak, iż oni pozostali sami jedni wobec wszystkich moskiewskich sił. Pomimo tego Matuszewicz, dostrzegłszy odwrót Polaków, przebił się i tegoż dnia wieczorem przyłączył się do głównych sił w Malowance. Zaliwski zaś po zażartym boju już nie mógł odstąpić w tym kierunku, lecz niosąc na sobie rannego kolegę Czarneckiego, skierował oddział swój do Trok.

Straty Moskali w czasie bitwy wynosiły zaledwo 400 ludzi, Polacy zaś stracili 2 działa, 1.500 w zabitych, rannych i wziętych do niewoli, a oprócz tego 1000 powstańców, którzy widząc odwrót nieporządny regularnych wojsk, rozbiegli się zdemoralizowani po lasach i wrócili do domów.

Sława wygranej bitwy pod Wilnem należy do Sakena, bo Kuruta choć starszy, z rzadkiej skromności, niedowierzając swym zdolnościom, prosił go rozporządzać się wszystkim w czasie boju

W ciągu całego dnia między mieszkańcami Wilna był ruch nadzwyczajny, z nadzieją i niespokojnością wszyscy oczekiwali pojawienia się wojsk polskich. Domy oczyszczono i przygotowano dla zwycięzców, wszędzie gotowano dla niej żywność, a dla Moskali kamienie i wrzącą wodę. Wszystkie kwiaty z ogrodów były wykupione, dziewczęta plotły wianki i szyły kokardy; mężczyzni gotowali broń. Wszystkie jednak oczekiwania pozostały zawiedzione; Moskale nie rejterowali się, a polska armia nie przybywała: broń potrzeba było schować, a wianki zwiędły tak jak i nadzieje litewskiej stolicy. Mężczyzni byli w rozpaczy, kobiety płakały i modliły się, lecz miasto było spokojne, nie dla tego, żeby nie miało ochoty powstać, lecz że stracono wszelką nadzieję na udanie się powstania.

Nieszczęśliwa bitwa pod Wilnem zakończyła pierwszy peryod kampanii polskiej na Litwie i oznaczyła peryod przejścia szczęścia na stronę Moskali. Chociaż klęska Polaków ze względu na liczbę zabitych i rannych nie była wielka, jednak pod względem moralnym straty były niepowetowane. Uzyskane w bitwie pod Rajgrodem prawo inicyatywy przeszło do wrogów. Polski korpus wrócił znowu do tego stanu, w jakim się znajdował po ostrołęckiej bitwie, to jest do stanu awanturników, nie mających żadnej podstawy. Litwa, która patrzała z początku na polskie wojska jak Peruwiańczycy na hiszpańskich centaurów, ostygła w swym podziwie i uniesieniu, straciła wiarę w nich, a powstańcy rozpierzchli po bitwie, roznieśli po kraju popłoch i wieść, że wszystko zginęło i że powstanie upadło.

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ DRUGA.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ XVIII.

W którym zobaczymy jak Gallijczycy przygotowują się do tego, by z pewnej wysokości przypatrzeć się swemu asteroidzie.

Jakie mogły być dla Gallii następstwa tego ważnego wypadku? Kapitan Servadac i jego towarzysze nie śmieli jeszcze odpowiadać sobie na to pytanie.

Słońce prędko powróciło na widnokrąg, tem prędzej, że właśnie rozpęknięcie się komety przyspieszyło ten powrót. Jeżeli kierunek obrotu Gallii nie zmienił się, jeżeli kometa obracał się ciągle około swej osi od wschodu ku zachodowi, to trwanie tego obrotu dziennego zmniejszyło się o połowę. Przestrzeń czasu między dwoma wschodami słońca wynosiła teraz sześć godzin zamiast dwunastu. W trzy godziny po ukazaniu się na horyzoncie gwiazda promienna chowała się za widnokrąg przeciwległy.

— Mordioux — powiedział kapitan Servadac — takim sposobem będziemy mieli rok składający się z 2800 dni.

— Nie wystarczy nam świętych na ten kalendarz — odpowiedział Ben-Zuf.

I w istocie, gdyby Palmiryn chciał znów zastosować kalendarz do nowej długości dni galickich, to przyszłoby do tego, że mówiłby o 538 czerwca lub 325 grudnia.

Co się tyczy kawałka Gallii, który unosił z sobą Anglików i Gibraltar, to było rzeczą widoczną, że on nie grawitował około komety. Przeciwnie, oddalał się. Ale czy unosił z sobą jakąś część morza i atmosfery galickiej? Czy posiadał dostateczne warunki mieszkalności? I czy wreszcie miał powrócić kiedykolwiek na ziemię?

O tem wszystkiem dowiemy się później.

Jakiż wpływ wywarło rozpołowienie się Gallii na jej dalszą drogę? To było właśnie pytanie, które hrabia, kapitan Servadac i porucznik Prokop naprzód sobie zadali. Poczuli zaraz przyrost sił muskularnych i skonstatowali nowe zmniejszenie się ciężkości. Ale ponieważ masa Gallii znacznie się zmniejszyła, czy nie zmieni to jej szybkości, i czy nie należało się obawiać, że pewne przypuszczenie lub opóźnienie w jej obrocie nie da jej spotkać się z ziemią?

Byłaby to klęska nie do naprawienia!

Ale czy szybkość Gallii zmieniła się choć na jotę? Porucznik Prokop był przeciwnego zdania, wszelako nie śmiał go wypowiedzieć, nie mając dostatecznych wiadomości w tej materyi.

Jeden tylko Palmiryn Rosette mógł odpowiedzieć na to pytanie. Potrzeba więc było tym czy innym sposobem, drogą przekonania czy gwałtu, zmusić go do mówienia i do dokładnego oznaczenia chwili, w której spotkanie ma nastąpić.

Zaraz w pierwszych dniach po katastrofie można było zauważyć, że profesor był w zabójczym humorze. Czy przyczyną tego była utrata sławnej lunety, czy może tak sobie należało ten objaw tłomaczyć: rozpołowienie się nie zmieniło szybkości Gallii, i ma ona zatem zetknąć się z ziemią w oznaczonym przedtem momencie. W istocie, gdyby wskutek rozpołowienia się kometa się nieco spóźnił lub przyspieszył biegu, gdyby powrót na ziemię był zakwestyonowany, wówczas radość Palmiryna Rosette byłaby tak wielką, że nie umiałby jej powstrzymać. Jeżeli więc ta radość się nie objawiała, to widać, że nie miał powodu się cieszyć — przynajmniej w tym względzie.

Kapitan Servadac i jego towarzysze pocieszali się więc tem spostrzeżeniem, ale to nie wystarczało. Potrzeba było wydobyć tajemnicę od tego jeża.

Wreszcie udało się to kapitanowi Servadac w następujący sposób:

Było to 18 grudnia. Palmiryn Rosette, zrozpaczony, wdał się w gwałtowną rozprawę z Ben-Zufem. Ten ostatni obraził profesora w osobie jego komety. Piękna gwiazda, zaprawdę, która się rozłamywała, jak zabawka dziecinna, pękała jak tłomok skórzany, rozłupywała jak orzech suchy! Lepiej żyć na granacie, na bombie z zapalonym knotem! etc. Łatwo sobie wyobrazić, co Ben-Zuf mógł na ten temat wygadywać. Rozmawiający rzucali sobie wzajem na głowę, jeden Gallię, drugi Montmartre.

Przypadek zdarzył, że kapitan Servadac nadszedł podczas najgorętszej dyskusyi. Byłoż to natchnienie z góry? Powiedział sobie, że ponieważ łagodnością nie można nic wskórać z Palmirynem Rosette, więc może gwałtowność poskutkuje lepiej, i wziął stronę Ben-Zufa.

Gniew profesora natychmiast się objawił w najostrzejszych wyrazach.

Na gniew profesora Servadac odpowiadał także gniewem, ale udanym, i tak zakończył:

— Panie profesorze, nie podoba mi się pański sposób mówienia, i postanowiłem nie znosić go dłużej! Zanadto pan mało pamiętasz o tem, że mówisz do generalnego gubernatora Gallii.

— A pan — odparł zapalczywy astronom — zbyt zapominasz o tem, że odpowiadasz jej właścicielowi.

— Tu nie chodzi o to! Zresztą pańskie prawo własności jest bardzo wątpliwe.

— Wątpliwe?

— A ponieważ niepodobna nam teraz powrócić na ziemię, będziesz więc pan od tego czasu stosować się do praw panujących na Gallii!

— Ach! czy tak? — odpowiedział Palmiryn Rosette — mam być uległy na przyszłość!

— Tak właśnie.

— Szczególnie teraz, gdy Gallia nie ma powrócić na ziemię?...

— I gdy wskutek tego będziemy musieli żyć na niej wiecznie — dodał kapitan Servadac.

— I dla czegożby Gallia nie miała powrócić na ziemię? — zapytał profesor głosem, w którym coraz głębsza przebijała się pogarda.

— Dla tego, że od czasu, jak się rozpołowiła, to zmniejszyła się jej masa, i wskutek tego szybkość jej musiała się zmienić.

— Któż to powiedział!

— Ja to mówię, wszyscy!

— Otóż, kapitanie Servadac, wszyscy i pan jesteście...

— Panie Rosette!

— Ignoranty, skończone osły, które się na mechanice niebieskiej ani odrobiny nie znają!

— Strzeż się pan!

— Ani na fizyce najelementarniejszej...

— Panie!

— Ach, niegodny uczniu! — zawołał profesor, którego gniew przechodził w paroksyzm gorączki. — Nie zapomniałem wcale, że niegdyś byłeś zakałą mojej klasy!...

— Tego już za wiele!...

— Że byłeś hańbą dla kollegium Karola Wielkiego!...

— Jeżeli pan nie zamilkniesz, to...

— Nie, nie zamilknę i pan mię wysłuchasz, choć jesteś kapitanem! Doprawdy! Wyborni fizycy! Że masa Gallii zmniejszyła się, więc wyobrażają sobie, że to mogło wpłynąć na jej szybkość! Jak gdyby ta szybkość nie zależała wyłącznie od szybkości pierwotnej skombinowanej z przyciąganiem słońca! Jak gdyby nie obliczano perturbacyi bez wciągania w rachunek masy ciał zbaczających! Czy wiadomą jest masa komet? Nie! A czy obliczają ich perturbacye? Tak? Ach, potrzeba się litować nad panem.

Profesor unosił się. Ben-Zuf, myśląc, że jego kapitan na prawdę się gniewa — powiedział doń:

— Czy pozwolisz, kapitanie, abym mu połamał kości, abym go przepołowił na wzór jego nędznej komety?

— No, dotknij się mnie tylko! — zawołał Palmiryn Rosette — prostując się cały.

— Panie — odpowiedział żywo kapitan Servadac — potrafię pana nauczyć rozumu!

— A ja za pogróżki i czynną obrazę pociągnę pana przed kompetentne trybunały!

— Trybunały Gallii?

— Nie, panie kapitanie, przed trybunały ziemskie.

— Gadaj pan zdrów! Ziemia jest daleko! — odparł kapitan Servadac.

— Jakkolwiek jest daleko — zawołał Palmiryn Rosette uniesiony do najwyższego stopnia — niemniej przeto przetniemy jego orbitę w nocy z 31 grudnia na 1 stycznia i przybędziemy do niej o godzinie drugiej czterdzieści siedm minut trzydzieści pięć sekund i sześć dziesiątych rano!...

— Mój drogi profesorze — powiedział kapitan Servadac z wdzięcznym ukłonem — niczego więcej od pana nie żądałem.

I opuścił Palmiryna Rosette bardzo zmięszanego, a i Ben-Zuf czuł się w obowiązku złożenia mu za przykładem kapitana niemniej wdzięcznego ukłonu.

Hektor Servadac i jego towarzysze wiedzieli nakoniec to, co im tak było potrzebne. O godzinie drugiej czterdzieści siedm minut, trzydzieści pięć sekund i sześć dziesiątych rano miało nastąpić spotkanie.

A zatem jeszcze zostawało piętnaście dni

ziemskich, trzydzieści dwa dawnych dni galickich, czyli 64 nowych.

Tymczasem przygotowania do odjazdu czyniono z nieporównaną gorliwością. Wszyscy radziby byli co prędzej opuścić Gallię. Mongolfierka porucznika Prokopa zdawała się być sposobem zapewniającym połączenie się z globem ziemskim. Wśliznąć się z atmosferą galicką w atmosferę ziemską, zdawało się to rzeczą najłatwiejszą w świecie. Zapominano o tysiącznych niebezpieczeństwach tego położenia, któremu podobnych nie przedstawiają żadne poprzednie podróże aerostatyczne. Nic nie było naturalniejszego! A jednak porucznik Prokop miał zupełną słuszność, gdy powtarzał, że mongolfierka, powstrzymana w ruchu swoim obrotowym, spali się wraz ze wszystkimi, że chyba cud jakiś je ocali. Kapitan Servadac okazywał się umyślnie pełnym zapału i wiary. Co się tyczy Ben-Zufa, to jemu zawsze się marzyło o przejażdżce balonem; był więc u szczytu swoich marzeń.

Hrabia i porucznik, chłodniejsi i rozważniejsi, sami jedni widzieli całe niebezpieczeństwo tej próby. Ale byli przygotowani na wszystko.

Już w owym czasie morze, uwolnione z lodów, było żeglowne. Przyszykowano szalupę parową i z tym węglem, co jeszcze pozostał, odbyto kilka podróży na wyspę Gurbi.

Pierwszą podróż odbył kapitan Servadac z Prokopem i kilku towarzyszami. Znaleźli wyspę Gurbi, posterunek, wszystko to długa zima uszanowała. Strumienie spływały po powierzchni gruntu. Ptaki, porzuciwszy Ziemię Gorącą, powróciły do tego kawałka żywej ziemi, gdzie znów ujrzały zieloność drzew i łąk. Pod wpływem równikowego gorąca dni trzygodzinnych pojawiły się nowe rośliny. Słońce z nadzwyczajną siłą oblewało je swymi prostopadłymi promieniami. Bezpośrednio po zimie nastąpiło palące lato.

Na wyspie Gurbi zebrano zapas trawy i słomy, potrzebny do wydymania mongolfierki. Gdyby ten olbrzymi przyrząd nie był tak trudnym do przewożenia, być może, iżby go przeniesiono morzem na wyspę Gurbi. Ale uznano za lepsze puścić się balonem z Ziemi Gorącej, i tam sprowadzić paliwo potrzebne do rozrzedzania powietrza w mongolfierce.

Na użytek codzienny palono już drzewem pochodzącem z rozbitych statków. Kiedy chodziło o zużytkowanie pomostu *Hanzy*, Izaak Hakhabut chciał się temu sprzeciwić. Ale Ben-Zuf powiedział mu, że jeśli tylko słowo piśnie przeciw temu, to za miejsce w łódce balonowej każą mu zapłacić pięćdziesiąt tysięcy franków.

Izaak Hakhabut westchnął i zamilkł.

Nadszedł 25 grudnia. Wszystkie przygotowania do odjazdu pokończono. Obchodzono Boże Narodzenie podobnie jak przeszłego roku, tylko z głębszem uczuciem religijnem. Co się tyczy Nowego roku, to wszyscy spodziewali się święcić go na ziemi, a Ben-Zuf nawet obiecał małemu Pablowi i dziewczynce piękną kolendę.

— Powiadam wam — mówił — jakbyście ją mieli w ręku!

Jakkolwiek wydawać się to może rzeczą nieprawdopodobną, przecież w miarę zbliżania się stanowczej chwili, kapitan Servadac i hrabia zupełnie o czem innem myśleli, niż o niebezpieczeństwach spotkania się z ziemią. Chłód, który zapanował w ich stosunku do siebie, nie był udany. Dwa lata, które spędzili razem w dali od ziemi, zaczęły być dla nich jakby snem zapomnianym; teraz mieli stanąć naprzeciw siebie na gruncie realnym. Pewien czarowny obraz wsunął się między nich i nie pozwalał im, jak niegdyś, widzieć siebie wzajem.

I wówczas to przyszło kapitanowi Servadac na myśl, aby dokończyć owego sławnego ronda, którego ostatnia zwrotka pozostawała do dokończenia. Kilka wierszy jeszcze i ten rozkoszny mały poemacik byłby kompletny. Poetę porwała ziemi Gallia, poetę by jej oddawała!

I od czasu do czasu kapitan Servadac przechodził w myśli wszystkie swoje nieszczęśliwe rymy.

Co się tyczy innych mieszkańców kolonii, to hrabia i porucznik chcieli co najspieszniej znaleźć się na ziemi, a Rosyanie mieli jednę tylko myśl: iść za swoimi panami, gdziekolwiek się im podoba ich poprowadzić.

Hiszpanom tak dobrze było na Gallii, że chętnie by tam byli przepędzili i resztę dni swoich. Ale wreszcie i Negrete wraz z ziomkami swymi nie bez pewnego zadowolenia ujrzeliby równiny Andaluzyi.

Co się tyczy Pabla i Niny, byli oni zachwyceni powrotem na ziemię wraz ze wszystkimi, ale pod warunkiem, że się nigdy nie rozłączą.

Zostawał jeden tylko malkonent, zapamiętały Palmiryn Rosette. Nie wychodził on z gniewu, klął się, że nie wsiądzie do łodzi balonowej. Nie! utrzymywał, że nie opuści swego komety. Dniem i nocą prowadził swoje badania astronomiczne. Ach, jakże mu brakowało nieodżałowanej jego lunety! Oto Galia miała wejść w wąską strefę gwiazd spadających! Czyż nie było tam ciekawych objawów do obserwowania, czyż nie przedstawiała się sposobność zrobienia jakiegoś odkrycia.

Palmiryn Rosette, zrozpaczony, użył wówczas heroicznego środka, rozszerzając źrenice swych oczu, ażeby niemi choć trochę zastąpić potęgę optyczną utraconej lunety. Do rozszerzenia źrenic użył belladony, której dostał w apteczce Ula Niny — i patrzał w niebo, patrzał niemal aż do oślepnięcia. Ale jakkolwiek światło wskutek tego silniej się odbijało na siatce jego oczu, nic on nie widział, nic nie odkrył!

Ostatnie dni przeszły w podrażnieniu gorączkowem, od którego nikt nie był wolny. Porucznik Prokop pilnował ostatnich szczegółów wyprawy. Dwa niskie maszty *Dobryny*, utkwione na płaszczyźnie, służyły za podporę dla olbrzymiej mongolfierki, jeszcze nie wydętej, ale okrytej siecią. Łódka dostateczną była do pomieszczenia wszystkich pasażerów. Kilka worów skórzanych z powietrzem, przywiązanych do niej, miało służyć do utrzymania jej jakiś czas na wodzie, na wypadek gdyby mongolfierka spuściła się na morze w pobliżu brzegu. Widoczna rzecz, że gdyby trafiła na pełny ocean, to utonęłaby wraz ze wszystkimi wędrowcami, chybaby jakiś okręt znalazł się dla jej ocalenia.

Dnie 26, 27, 28, 29, i 30 grudnia upłynęły. Pozostawało jeszcze tylko 48 godzin ziemskich do spędzenia na Gallii.

Nadszedł 31 grudnia. Jeszcze dwadzieścia cztery godziny, i mongolfierka siłą ciepłego rozrzadzonego powietrza unosić się będzie w atmosferze galickiej. Prawda, że ta atmosfera była mniej gęstą od ziemskiej; ale potrzeba pamiętać i o tem, że ponieważ przyciąganie było mniejsze, więc i przyrząd balonowy był lżejszy i łatwiejszy do podniesienia.

Gallia znajdowała się wówczas o czterdzieści milionów mil od słońca, w odległości trochę większej od tej, która oddziela słońce od ziemi. Posuwała się z nadzwyczajną szybkością ku drodze ziemskiej, którą miała przeciąć w tym punkcie właśnie, w którym się wówczas miała znajdować ziemia.

Co się tyczy odległości, która oddzielała kometę od ziemi, to wynosiła ona już tylko dwa miliony mil. Dwa te ciała niebieskie dążyły ku sobie i co godzina były bliższe siebie o 86 tysięcy mil, Gallia bowiem w godzinę posuwała się o 57 tysięcy mil, a ziemia o 29 tysięcy.

Nakoniec, o godzinie drugiej rano Galijczycy zabrali się do odjazdu. Spotkanie miało nastąpić za 47 minut i 35 sekund.

Wskutek zmiany ruchu obrotowego Gallii około swej osi, był dzień wówczas — i dzień także był na tej części globu ziemskiego, o którą kometa miał uderzyć.

Od godziny już mongolfierka wypełnioną była ciepłem powietrzem. Rozdęcie jej wybornie się udało. Olbrzymi przyrząd, chwiejąc się między masztami, gotów był do odjazdu. Łódź, przyczepiona do siatki, oczekiwała na wędrowców.

Galia była już odległą od ziemi tylko o 75 tysięcy mil.

Izaak Hakhabut pierwszy zajął miejsce w łodzi. Ale w tej chwili kapitan Servadac zauważył, że olbrzymio wypchany pas opasywał biodra żyda.

— Co to jest? — zapytał?

— To, panie gubernatorze — odpowiedział Izak Hakhabut — to moja skromna fortuna, którą z sobą unoszę!

— A co ona waży, ta twoja skromna fortuna?

— Och! nie więcej jak trzydzieści kilo.

— Trzydzieści kilo, a nasza mongolfierka ma tylko siłę dostateczną do uniesienia nas samych. Odrzuć, panie Izaaku, ten beużyteczny ciężar.

— Ale, panie gubernatorze...

— Bezużyteczny, powiadam ci, nie możemy przeciążać łodzi!

— Stwórco wszech świata! — zawołał Izaak — cała moja fortuna, całe moje mienie, z takim trudem zebrane!

— Ech, mości Izaaku, wiesz dobrze, że twoje złoto nie będzie miało żadnej wartości na ziemi, ponieważ wartość Galii wynosi 246 sekstylionów!...

— Ale, Jaśnie Wielmożny panie, przez litość!...

— No, Matatyaszu — powiedział wówczas Ben-Zuf — uwolń nas albo od twojej obecności, albo od twego złota, masz do wyboru!

I nieszczęśliwy Izaak musiał ściągnąć z siebie i odrzucić olbrzymi pas, a czynił to w pośród lamentów i przekleństw, których nie będziemy się silili powtarzać.

Co się tyczy Palmiryna Rosette, to z nim była zupełnie inna sprawa. Uczony zapamiętalec nie chciał wcale opuścić jądra swego komety. Znaczyło to tyle, co wyrwać go z jego posiadłości! Zresztą ta mongolfierka, to był przyrząd niedorzecznie wymyślony! Przy przejściu z jednej atmosfery w drugą balon musiał się spalić, jak zwykły arkusz papieru! Mniej było niebezpiecznie pozostawać na Galii, i w razie gdyby Galia, nieszczęśliwym jakim sposobem, otarła się tylko o ziemię, w takim razie Palmiryn Rosette mógłby dalej na niej podróżować po wszechświecie! Wreszcie podawał tysiąc powodów zostania z towarzyszeniem wściekłych i śmiesznych wyrzekań, jak naprzykład groźba, iż zada pokutę uczniowi Servadac!

Pomimo tego wszystkiego profesora wprowa-

dzono do łodzi zaraz po Izaaku, ale skrępowanego i trzymanego przez dwóch silnych majtków. Kapitan Servadac, postanowiwszy nie zostawiać go na Galii, użył tego, nieco szorstkiego, sposobu.

Potrzeba było zostawić oba konie i kozę Niny! Krajało się serce kapitanowi, Ben-Zufowi i dziewczynie, ale nie można było zrobić inaczej. Ze wszystkich zwierząt tylko gołąbek Niny miał dla siebie miejsce zachowane. Kto wie, zresztą, czy ten gołąbek nie miał służyć za posłańca dla powietrznych wędrowców, pragnących przesłać jakąś wiadomość na ziemię?

Hrabia i porucznik na zaproszenie kapitana weszli do łodzi.

Jeszcze tylko sam kapitan i wierny jego Ben-Zuf stali na gruncie galickim.

— No, Ben-Zuf, kolej na ciebie — powiedział Servadac.

— Po tobie, mój kapitanie!

— Nie. Muszę być ostatnim, jak kapitan zmuszony opuścić swój okręt!

— Jednakże...

— Mówię ci, idź!...

— Przez posłuszeństwo zatem! — powiedział Ben-Zuf.

Ben-Zuf przestąpił krawędź łodzi. Kapitan Servadac zajął miejsce obok niego.

Przecięto wówczas ostatnie sznury, i mongolfierka uniosła się wspaniale w powietrze.

(Dok. nast.)

SPRAWY SZKOLNE.

POWIEŚĆ I BIBLIOTECZKI DLA UCZNIÓW.

Któż nie pamięta tych czasów, kiedy to „czytanie książek“ było w oczach władzy szkolnej, niejako występkiem ucznia, a nie zbyt to dawno, kiedy czytanie „polskiej“ książki sprowadzało nań złą cenzurę z obyczajów. I dla tego właśnie, że książka była zakazanym owocem, młodzież pochłaniała wszystko bez ładu i wyboru, co jej tylko pod rękę podpadło. Tworzyły się biblioteczki po kuferkach studenckich, gdzie przemycany, a drogo opłacony „Przedświt,“ sąsiadował z „Rinaldo-Rinaldinim,“ a „Pieśni Janusza“ leżały obok „Wiecznego żyda“. Powieści Kraszewskiego i Korzeniowskiego, Bernatowicza, Kaczkowskiego, Bronikowskiego i Rzewuskiego, bywały prawdziwą biesiadą dla wyobraźni młodych czytelników, chociaż rwano się i do fantastycznych, efektownych powieści francuskich, niemieckich lub angielskich, jakie się rozsypywały w przekładach po kraju.

Nie da się zaprzeczyć, że taka chaotyczna lektura, rozpalająca wyobraźnię, tu i owdzie raczej szkodę przyniosła, niż pożytek. Nie ulega wątpliwości, że lektura, której kierownikiem był usłużny antykwarz, lub ślepy przypadek, odrywała poniekąd młodzież od pracy poważniejszej, obmyślanej dobrze, a przedewszystkiem od pracy szkolnej. Jednak przesadnem byłoby ze wszech miar, przypisywać jej *zabójcze wpływy* na charakter i wykształcenie młodzieży, jak to się nieraz zbyt surowym a uprzedzonym sędziom wyrokować podoba.

Gdy w ślad za nowym systemem politycznym w monarchii, i w szkołach zmiany nastąpiły, władza szkolna uznała za potrzebne, a nawet konieczne, zakładanie biblioteczek dla uczniów i dostarczanie im tym sposobem dobrej, wyborowej, uporządkowanej lektury. Wprawdzie biblioteczki te drobne jeszcze i ubogie, nie mogą wystarczyć potrzebie, zwłaszcza w miasteczkach, gdzie młodzież dla braku czytelni publicznych i ruchu księgarskiego, nie może po za szkołą znaleść dla siebie lektury, jednak to co jest dotąd, uważanem być może za cenny zawiązek bogatej przyszłości.

Biblioteczki te kompletują się atoli często nader jednostronnie, a to pod wpływem rozszerzonej śród nauczycielstwa opinii, niechętnej powieści, uważającej takową za zgubną dla młodzieży stronę. Jest to dziś rzeczą dość zwykłą spotkać się z osobami, które stanowczo potępiają powieść, jako zupełnie bezużyteczną, a dla młodzieży szkodliwą. Co więcej: bywają osoby, które by sobie za ujmę swej godności intelektualnej poczytały, gdyby je o przeczytanie jakiej powieści posądzono. Zdaje mi się, że należałoby zdać sobie dokładnie sprawę z tego wszystkiego i poznawszy przyczyny tych krucyat na beletrystykę, zastanowić się nad tem, jakie stanowisko zająć powinna powieść w biblioteczce szkolnej, tudzież kiedy i dla czego w ręku młodzieży znajdować się może i powinna. Rozumie się samo przez się, że mowa tu jedynie o powieści uczciwej i przyzwoitej.

Pytamy się zkąd ta zawiść do powieści? Różne jej źródła — ale przedewszystkiem moda importowana wraz z pseudo - realizmem, pseudopozytywizmem i innemi „pseudo.“ Zdawało się ludziom, że prąd intelektualny od niedawna się rozlewający, porywając umysły ku pracom badawczym, ku nauce ścisłej, gruntownej, powinien przedewszystkiem zalać i zamulić poezyę i beletrystykę. Zdawało się tym ludziom, że nowe hasła wieku, powołujące rozumy do nauki i badań, tem samem serce i wyobraźnię na zagładę skazują. Byłaby ta jednostronność duchowego życia w skutkach swych fatalna. Po rok 1863 kołysaliśmy się jednostronnie poezyą i beletrystyką, i byliśmy może *za wiele marzycielami;* gdybyśmy dziś w przeciwną popadli ostateczność i wyrzekli się uczucia i fantazyi dla miłości nowych prądów, gdybyśmy zgasili wszystek ogień płonący w poezyi, możebyśmy byli na przyszłość *za mało ludźmi.* Równowagi więc, równowagi w rozwoju i zadowoleniu władz ducha domagać się trzeba. Prócz doktrynerstwa modnego, jest jeszcze źródło, z którego tryska anatema na powieść i poezyą. Jest to także rodzaj doktrynerstwa pedagogicznego, któremu się zdaje, że można sobie dowolnie przekształcać, według *a priori* ułożonych systematów, nadane człowiekowi prawa natury. Doktrynerami tego rodzaju bywają najczęściej ludzie, którzy dokładnie znają całą bibliografię pedagogiczną, ale brak im jednej rzeczy: oto znajomości człowieka. Czytali stosy książek, ale nie nauczyli się czytać w tej najmędrszej księdze spisanej przez Boga, której na imię: dusza ludzka.

Wreszcie starość staje w szeregu pogromców. Starość w codziennem pojęciu wyrazu to: rozum doświadczeń, lub zdziecinniały wiek schyłkowy. Pierwszej uchybilibyśmy zaliczając ją do doktrynerów, drugiej wybaczyć by wszystko należało: jednak jest inny rodzaj starości, a tym owo przedwczesne stetryczenie człowieka, które go czyni podobnym do nadpsutego, przedwcześnie opadłego owocu. Ci to starzy nasłuchawszy się niegdyś, jak „kulturträger“ dziwnego systemu piorunował na czytanie książek, wynieśli ze szkół jeszcze uprzedzenie do nich, zwłaszcza gdy widzieli, że nie jeden z młodych czytelników studenckich zmarnował się po prostu wskutek wybujałości fantazyi, nabytej przez lekturę. Zapominają atoli, że nie czytanie *powieści,* ale *złych* powieści było tego przyczyną, że nie *czytanie,* ale *chaotyczne* czytanie było temu winne. Zapominają też, że zawsze pewien procent uczniów co roku niemal odpada, gubi się w pochodzie z klasy do klasy, z przyczyn z lekturą nie mających nic wspólnego. Owszem ci właśnie, którzy najwięcej czytywali, chociaż zginęli po drodze, odnaleźli się potem, jako pożyteczni społeczeństwa pracownicy, gdy inni mniej do lektury mający pochopu, zaginęli w tłumie bez śladu.

Poznawszy najliczniejszą część przeciwników, skłaniamy po rycersku szpadę i pozwalamy sobie wystąpić do walki w obronie powieści.

Przypomnijmy sobie dobrze młodość własną, a badajmy pilnie skłonności i naturę naszych uczniów lub dzieci własnych, a jużcić przekonamy się z tego, że wyobraźnia najpierw się rozbudza w człowieku, że ona jest panią młodych lat. Cóż z nią zrobić? Stłumić ją? usunąć? Stłumić i usunąć się nie da, bo jest prawem natury; tłumiąc ją i zabijając, spaczy się ją tylko i zmusi do szkodliwego fermentu. Przeciwnie — rozwijać ją należy rozumnie i kształcić, starając się równocześnie o kształcenie rozumu, woli i uczucia. Nikt nie zaprzeczy, że od *jakości* woli i uczucia, zależy *jakość* charakteru. Dając naukę, kształcimy rozum, a czyż charakter kształcić, nie jest obowiązkiem naszym? A czyż kierunek wyobraźni nie wpływa na rozwój woli i uczucia? Czy wyobraźnia nie popycha młodziuchnej woli i młodziuchnego uczucia na własne drogi, w wir własnego prądu?

Zajmując wyobraźnię szlachetnymi i wzniosłymi obrazami, uszlachetnimy i uczucie; pod tym względem nie zastąpią powieści podróże, życiorysy i inne tego rodzaju płody literackie. Najpierw: inny ich cel i przeznaczenie i stosowne są dla młodzieży starszej, która ma dostateczną naukę do ich zrozumienia, a powtóre: nie przedstawiają i nie tłomaczą czytelnikowi młodemu życia, które go czeka, ku któremu zdąża. Podróże są niejako uzupełnieniem nauki geografii, a czyż nie mamy obowiązku uzupełniać nauki nie mającej wprawdzie osobnych godzin szkolnych, ani profesora specyalisty, ale płynącej pośrednio z innych nauk i z całej działalności naszej dydaktyczno-pedagogicznej? Tą nauką to owe prawdy moralne, to owe zasady etyczne, któremi młodzież napawać się powinna w szkole nie tylko na exhortach i w czasie lekcyi religii, ale w każdem zetknięciu z nauczycielem, przy każdej sposobności, przez naukę lub przykład dany przez nauczyciela. Uzupełnienie tej nauki znajdzie uczeń w powieści, powtarzam jeszcze: uczciwej, rozumnej i przyzwoitej.

Powieść uczy języka, gładkości wysłowienia; uczy ogłady i obejścia towarzyskiego, boć czytelnik wprowadzony powieścią w salon, ogarnia go wyobraźnią, obraz pamięcią i mimowoli przyswaja sobie formy towarzyskie, które bądź co bądź są ważnym artykułem życia, są jego potrzebą. Powieść zapoznaje czytelnika z ludźmi, z różnemi sytuacyami życia, ułatwia, że tak powiemy: teoryą swoją, praktykę życia. Ileż to najszlachetniejszych wzruszeń, wrażeń, spływa z niej w młodą duszę czytelnika i rozpłomienia w niej zapał do wszystkiego co wzniosłe, co dobre, co piękne? Powieść historyczna obok tego koloryzuje poniekąd historyą, ożywia ją, zachęca do uczenia się jej nie z obowiązku, ale z zamiłowania.

Jakżeż nawet niezbędną jest powieść już

dla odżywienia i odświeżenia umysłu. Oto realista spędził siedm godzin w szkole, na chemii, fizyce, deskryptywie, geologii i t. d. Natężał umysł przez tyle godzin; wraca do domu i oczywista, że powstaje w nim reakcya, domagająca się równowagi władz ducha. Wyobraźnia tłumiona dzień cały, pragnie swobody. Dajcie w tej chwili uczniowi dobrą powieść, a za dwie godziny tak będzie skorym, chętnym i zdolnym do uczenia się chemii, że w godzinie zrobi więcej, niż by zrobił w trzech godzinach, gdyby nieodświeżył był umysłu ową powieścią.

Doświadczenie pouczyło mnie dostatecznie, że młodzież pochopna do lektury, nie zna kart, bezmyślnego włóczęgostwa, ani innych wybryków, ści rających z lica młodzieńczy rumieniec. Szlachetne popędy ją ożywiają, szlachetne uczucia rozrastają się w piersi. Miałem niegdyś kolegów, którzy do klasy V gimnazyalnej nie wiedzieli co to przeczytać książkę nieszkolną, a przepadali za fajką, kartami i włóczeniem się bezmyślnem od kolegi do kolegi. Gdy zachęceni wzięli się do powieści, czytali je zrazu od niechcenia, potem z zajęciem, wreszcie z zapałem. Jakiż z tego rezultat? Oto już w klasie piątej wymieciono karty ze śmieciem, fajki były mniej, a nawet mało w użyciu, nauka zaś szkolna zyskiwała, bo uczono się pod wpływem myśli odświeżonej zawsze, a chwytano naukę umysłem rozwijającym się szybko. Już w klasie VI rwano się do szkiców historycznych, w VII do poważnych rozpraw naukowych, a w VIII do dzieł umiejętnych. Do uniwersytetu wstąpiła młodzież rozwinięta, z dość obszernym zakresem pojęć i wiedzy.

Miałem ucznia wielce utalentowanego, który ledwie z klasy do klasy przechodził, a w pierwszych półroczach zwykle drugi stopień otrzymywał. Zdolności pozwalały mu próżnując, zyskać sobie promocyę. Chłopiec ten był nad przepaścią moralną pod każdym względem. Nie czytywał nic, bo mu nie dano nic w rękę, a sam niczego nie szukał. Zacząłem mu dawać powieści w klasie V. realnej; lektura sprawiła, że spoważniał, opamiętywać się zaczął i umoralniać. W klasie VI należał do uczniów lepszych, w klasie VII był pierwszym w klasie, zdobył sobie dobre obyczaje, złożył chlubnie maturę a jako uczeń klasy VII napisał z własnego popędu kilka tak szczęśliwych a *gruntownie* opracowanych monografii historyczno-literackich, że mógłby się niemi pochlubić słuchacz filozofii ostatniego kursu.

Że lektura jest potrzebną i pożyteczną dla młodzieży, tego zdaje się nikt nie zaprzeczy; powieść jest początkiem lektury, jest wstępem do niej, jest jej ponętą. Powieść przecież jest początkiem nauki. Czemże wypełniają się czytanki szkół pospolitych, jeżeli nie powiastkami? Dla dziecka powiastka, dla podrostka powieść. — Że tak jest, zrozumieli to dobrze pedagogowie na Zachodzie. Jakże olbrzymia w Niemczech literatura dla młodzieży, a przeważnie z powieści złożona.

Powiadają niektórzy, że powieść uczy encyklopedycznej płytkości. Zapewne by tak było, gdyby powieść miała służyć za jedyny środek dydaktyczny i gdyby jej przeznaczono *uczyć*. Powieść atoli jest dopełnieniem nauki, odpoczynkiem po niej. Powieść obok gruntownej nauki szkolnej, nie może wpoić płytkości, bo od tego broni nauka szkolna. Możnaby powiedzieć, że i poezya i teatr i sztuka w ogóle, że obracanie się w dobrem towarzystwie uczą płytkości encyklopedycznej. Zapewne, gdyby kto nie uczył się niczego, szkoły nie zaznał, a jedynie przez obcowanie w dobrych towarzystwach się uczył, lub przez uczęszczanie do teatru, lub przez czytanie powieści, to w samej rzeczy płytko by miał w głowie. Z tego atoli nie wynika, że towarzystwo dobre, teatr, powieść, są złe, szkodliwe dla tych, którzy przytem się uczą.

Jestem silnie przekonany, że lekturą należy tak kierować, aby młodzież do 15 lat życia przeważnie czytywała powieści, poezyę opisową, łatwo i obrazowo skreślone podróże. Potem przejść n. p. do szkiców historycznych, biografii, podróży poważniej traktowanych i poezyi dramatycznej, wreszcie do poezyi lirycznej, rozpraw naukowych, dzieł umiejętnych i t. d.

Ponieważ szkoła średnia najwięcej dostarcza czytelników liczących do 15 lat wieku, przeto należałoby zaopatrywać biblioteczki uczniów w znaczną ilość powieści.

„Nieśmy narodowi oświaty kaganiec“, wdzierajmy się z nim w głąb ducha, ale nie sądźmy, że dość dać wiedzę i oświecić rozum. Serce i fantazya czekają także opieki naszej i ciepła i kierunku. *Czesław Pieniążek.*

Ze wsi.

przez

Karola Pieńkowskiego.

I.

Dziwny to człek był ten Mateusz Zięba.
Chłop jak na pokaz — w ramionach szeroki,
Wzrostem to zda się, że prześcignął dęba,
A chmurny zawsze — jakby żal głęboki
Krył w sercu na dnie — stroni od młodzieży,
Nigdy uśmiechem twarzy nie ożywi,
Nigdy w zaloty do dziewuch nie bieży,
Żyje gdzieś w lesie. Wieś cała się dziwi.
Ha i nie jeden z starych gospodarzy
Ruszy barkami, i pokiwa głową,
„Widno coś złego mu się w mózgu warzy,
„Widno go straszy dobrych ludzi słowo.“
A do roboty, czy to żąć na łanie,
Czy z kosą naprzód, czy dźwigać ciężary,
Przy Mateuszu nikt się nie ostanie,
Ciężar jak piórko narzuci na bary,
Skończy robotę — porzuci gromadę
I marzy o czemś — dajże mu tu radę!

Rodzic i matka pomarli mu wcześnie,
Została chata, spory kawał pola,
Mateusz nie łkał przed ludźmi boleśnie,
A tylko jęknął: Oj sieroca dola!
I rzekł do brata: „Ta posłuchaj bracie,
Dwóch nas zostało — jak dwa żyta kłosy,
Mieszkajmyż zgodnie na ojcowskiej chacie
I po bratersku złączmy nasze losy;
Mnie już, wiem dobrze, szczęście nie wypadnie,
Pójdę do grobu — jako żyłem dziwnie,
Ty się ożenisz — urządzisz się składnie!
A ja ci dzieci wyniańczę przedziwnie,
I dobrze będzie! A niech żadne swary,
Ni zawiść grosza nigdy nas nie dzieli,
Żyjmy, by matka, by ojciec nasz stary
Z nieba z radością dni nasze widzieli,
Tak by oddając duszę w ręce Bogu,
Z pogodnem czołem stanąć w niebios progu.“

Na tem skończyła się braci rozmowa,
Janek wysłuchał — oczy łzami zalał,
Bo serce dobre, choć bez statku głowa,
Choć bez pamięci często chłopak szalał:
Bywało w święto Mateusz do lasu
Pójdzie ze strzelbą od samego rana,
A Janek strojny, by nie tracić czasu,
Od wschodu słońca wyspiewuje — dana,
Z holubcem nawet idzie do kościoła;
A w domu Bożym — nie długa modlitwa,
Spokojnie ustać Janek nie podoła,
Więc hajże! grzeszna na dziewki gonitwa;
I na tę spojrzy i tamtej coś powie,
Tu mrugnie, tamtej uśmiechnie się zdradnie,
Ot zwykle, młody, zielono ma w głowie —
Darujcie... z wiekiem wesołość przepadnie.
Jaś tylko czasem czupryne poskrobie:
„Czemu Mateusz wciąż jakby w żałobie?“

W lesie Mateusz położy się w cieniu,
I duma długo, a o czem?.. sam nie wie.
Z piersi westchnienie leci po westchnieniu;
Wtem ptak zanuci, zwieszony na drzewie,
Lub liść upadnie, gałęź zaszeleści,
O on to wszystko odczuje w swej duszy,
I tak zadumą przysparza boleści.
I chociaż smutno — lecz dobrze mu w głuzcy,
Dziwnież bo czasem człowiek się narodzi.
Bogaty, piękny, a smutek go trawi,
I nie wie czemu wciąż żale zawodzi,
I nie wie: co mu nożem serce krwawi.
I nie raz w głowie przejdzie chętka grzeszna,
By się skończyła prędzej dola smutna;
I chociaż zniknie brudna myśl pospieszna,
To po niej długo dusza, jak pokutna
Niewiasta — płacze i żądna zbawienia
Obmyje winę przez czyn poświęcenia.

Serce się chłopa tęsknotą wciąż piekło,
Patrzył po świecie... jakby chciał powitać
Coś, co mu niby z przed oczu uciekło,
Co? ot, daremnie chcielibyście pytać.
On sam nie wiedział, lecz czuł, że mu braknie
Słońca, powietrza, a czasami ciemna.
Nie wiedział czego biedna dusza łaknie,
Nie znał, jak zwie się tęsknota tajemna.
Raz jeden, poszedł śmiało do plebana,
Myśli, człek mądry, ten prawdę wyświeci,
Czy dyabeł we mnie — wypędzi szatana
I zawsze jakąś moc w duchu podnieci.
Ukląkł przed księdzem, spowiadał się szczerze
W nadziei ulgi i wielkiej pokoju.
Spytał: zkąd w sercu niepokój się bierze,
Gdzie łaski szukać, co mu dopomoże?
Płakał, łza, mówią, każde serce kupi,
Ksiądz go wyłajał, że baje jak głupi.

Jedno szyderstwo na długo ostudzi
Serce, co kielich jako kwiat rozkłada.
Mateusz zgorzkniał; ucieka od ludzi
I tylko w lesie z samym sobą gada.
Albo na cmentarz pójdzie i uklęknie
Na grobie ojców i płacze jak dziecię.
I pierś przyciska, bo zda się, że pęknie!
Ot! zwykle dola sieroca na świecie.
Próbuje z bratem, daremna robota.
On go i kocha, ale rady nie da,
Wprost, nie rozumie co smutek, tęsknota,
Gdy głód nie grozi, nie uciska bieda.
Czego nie dadzą ludzie, nie da księga,
Często przyniesie złota chwila jedna;
Jest jakaś w duszy pragnienia potęga,
Co często myśli zbawienie wyjedna.
I chłop uwierzył, że chwila nadleci
Która mu drogę spokojem oświeci.

II.

W sąsiedztwie Ziębów żył człowiek stateczny,
W świecie bywały, dobry i rozumny,
Głowę mu okrył zdawna już włos mleczny,
Na ludzi patrzył z pokorą, a dumny,
Pokorny, bo czuł, że się w prochy zmieni,
Dumny, bo wiedział, że żyje uczciwie.
W domu Grzegorza cudny kwiat się pleni,
Na okół patrzy tęskliwie i chciwie —
Radaby poznać wszystkie ziemi czary,
Radaby szczęściem wybuchnąć najwięcej.
Słucha co prawi w wieczór ojciec stary,
Inaczej roi się w głowie dziewczęcej.
Ojciec jej mówi: Niezbyt spiesz się Jagno,
Krasa zawodzi, zawodzi i serce,
Może urody tylko młodzi pragną,
Albo grosiwa, cnota w poniewierce.
Więc nim się ozwiesz w statecznym wyborze,
Sądź, co w starości z młodego być może

A Jagna słucha i spełnić przyrzeka.
Rozum ojcowski pod niebiosa chwali,
Lecz pamięć dziewcząt, hej, to bystra rzeka!
Nie wie co w morze poniosła na fali.
I jedna piosnka wesoła Jankowa,
I jeden całus schwycony z ukosa.
Dłużej się pewno w pamięci uchowa,
Niż rady ojca, dziewko jasnowłosa.
Jasiek, kat że go... toć chłopak uparty;
Zechce — zakłóci spokojność źródlaną,
O coś na Jagnę patrzy nie na żarty,
Przy studni szepce i spotyka rano.
Z starym Grzegorzem też jakoś zażyły,
Do dom wracają trzeźwi, po kościele,
Bogdajby śluby prędzej ich złączyły,
Boć Jaś, choć pusty, lecz serca ma wiele,
A serce... dobroć na życie skarbnica,
Kąkol odrzucisz, zostanie pszenica.

Jagna... i pocóż wić mam prawdę w szmaty —
Jagna go kocha, szczerze, bez pamięci.
Janek toć dla niej młody i bogaty,
I wesół taki, tak do siebie nęci.
Mateusz jeszcze nie wiedział o niczem,
W oczy się Jagny zapatrzył za długo.
Dobrze mu było pod wzrokiem dziewiczym,
Dobrze, choć chwilę snów miłych być sługą.
Lecz dziewczę boi się jego tęsknoty,
Powagi, która widna w każdem słowie;
Gdy wejdzie, z myśli ucieknął, het, psoty,
I często wieczór cały nic nie powie.
Mateusz prosi o piosnkę... Piosenka
W połowie zmilknie; w bojaźni dziecięcej
Jagna w płomieniach jak dworska panienka
Uciecze z chaty i nie wróci więcej.
Mateusz smutny długo w nocy błądzi:
Nie tobie, oj nie, Bóg tu szczęście sądzi.

Są dusze, którym smutek jest potrzebą,
Tęsknota matką, rodzicem cierpienie
Dusze te, może wybrane przez niebo,
Imię ich łzawe — „przyszłości marzenie.“
One nie wiedzą dokąd idą, po co?
Nie Opatrzności promieniem się złocą,
Wiedzą początek, który jest w lazurze,
Tęsknota wiedzie je na bole, męki,
I z młodu skrwawią je zawodu ciernie.
One nie pomne na smutek i jęki,
Nieznanym celom służą zawsze wiernie;
Życie je często pokusami pieści,
Rozkoszą ludzi, zapomnieniem darzy,
One nie dadzą za uśmiech boleści
I od obłocznych nie zejdą ołtarzy,
Po długich troskach, po olbrzymim boju,
W nagrodę — cicho mrą w świętym pokoju.

Kto w smutku takim wytrwa, a szlachetnie,
Kto odpoczynku nie chce szukać w szumie,
Kogo nienawiść czy duma nie zetnie,
Kto go jak talent Chrystusów rozumie,
Kto w życiu burzy ustrzeże pogodę,
Odwagę, co się piorunem nie złamie,
Pod siwym włosem kryje serce młode,
Na czole tego — posłannictwa znamię, —
Słowo, co powie, będzie pracą ducha,
Przyszłość mu królów wschodnich gwiazda wskaże;
Często on głosów dziecięcia posłucha, —
Chcąc tym być, siebie trza dać na ołtarze;
Trzeba z swych chęci złożyć cną ofiarę
I szczęście własne dać innym w podziale —
I trzeba jeszcze odpędzić złą marę,
Co piosnkę nuci o pośmiertnej chwale.
Kto wie, czy wszystkie wielkości tej ziemi
Nie śpią pokryte głazy nieznanemi?...

III.

Mateusz poczuł że trzeba inaczej
Iść, niźli dotąd szedł przez długie życie,
Że, by los został poczciwie tułaczy,
Łzami go prawdy trzeba zlać obficie;
Że trzeba nazwać ten ból i tęsknotę,
Ten głos nieznany co się w piersi żali,
I tak ułożyć doczesną robotę,
Że się człek skłoni, a i Bóg pochwali.
Poczuł chłop biedny, że z jego żałości
Ludziom aż dotąd nie było korzyści,
Znał, że mu nie brak rozumu, miłości,
Więc troska serce mu w kościół oczyści,
I pierwszy wyrzekł: „Janku, kochasz Jagnę“ —
Janek jak dziewczę spłonił się po uszy.
„Kochasz, to żeń się“. — „A! ty chcesz?“ — „Oj, pragnę
Waszego szczęścia, jak zbawienia duszy.“ —
I chociaż szlochał w samotności długo,
Lecz chęć się stała woli jego sługą.

I sam od brata poszedł w dziewosłęby,
A twarz jak nigdy, miał wtedy pogodną,
Ta.., i przyjęto oświadczyny Zięby.
Niejeden ze wsi na dziewkę dorodną
Patrzy z radością i ślinkę połyka,
I darmo marę z przed oczu odpędza.
Jasiek radośnie: „oj dana!“ — wykrzyka —
„Ze lnu pięknego, piękna będzie przędza!“ —
Kto do przeznaczeń swoich leci końca,
Temu nie wolno długo osiąść w dole;
Odpocznie chwilę i leci bez końca —
Pogodny, chociaż z krwi potem na czole. —
Temu nie wolno ni zasnąć w słodyczy,
Ani w rozpaczy zaprzepaścić ducha,
Bo dziś Opatrzność jego kroki liczy,
A przyszłość kiedyś rachunku wysłucha.
Bo on z tych, których czujem w każdej chwili
Idący naprzód, że przed nami byli.

I zostawili jakiś ślad po sobie,
Nie wypisany, a jednak widoczny,
Że w odpoczynku siadali na grobie
Jako patrzący w świat, dla innych mroczny
W powietrzu, w jakiejś bezimiennej myśli,
W chęci co duszę bez myśli nam budzi; —
Nie wiem... lecz po to chyba oni przyszli,
Żeby upadłych znów podnieść do ludzi,
By cele ziemskie ogrzać myślą Bożą,
By nieśmiertelnej duszy dać świadectwo,
Z takich się dzieje ludzkości ułożą,
Tacy nagrodzą bliźnich swych kalectwo.
Bo to nieprawda, żeby ludzkie cele
Nie sięgły dalej po za zakres życia,
Żeby wraz z ciałem zapadłem w popiele
Duch nie miał więcej nic już do zdobycia —
On tu jako sen, marzenie, powraca,
I mówi cicho: że życie, to praca.

IV.

Nici wam wiję z tej duchowej przędzy
Pełne przeczucia, serca, marzycielstwa.
Wróćmy na ziemię. — Wierzajcie, w tej nędzy
Wiele nauki i wiele anielstwa...
Są słowa, że się włos na głowie jeży
Tyle w nich grozy i tyle niedoli;
Gorsze od dżumy, gorsze od grabieży,
A wymyślone w śmiech szatanom kwoli,
Serce się od nich w strachu lodem zcina,
A my je słyszym tak często, tak dawno!
A my je czujem co dzień, co godzina, —
Padamy, — wstajem ufać w przyszłość sławną.
A my patrzymy na boleść sieroty
I matki słyszym jęczące żałośnie,
Lub nad kolebką łez pełne tęsknoty —
„Zginie mi dziecko, zginie jak podrośnie.“
Ha! branka na wsi!... Car żołnierza żąda
Każdy jak śmierci wyroku wygląda,

I smutne losy na Janka wypadły.
Biedny, on roił już małżeńskie stadło!
Wójt go zawołał, powrócił wybladły
I jęknął Jagnie: „Szczęście me przepadło!
Czy pan Bóg nie chce, czy ludzie urzekli,
Jagno, mnie jutro zabiorą w żołnierze,
I gdzieś daleko od was będą wlekli.
W szarej siermiędze cudze kraje zmierzę —
Albo zwyklemu do lasu, do pola,
Do swej siedziby, na mrozie mrzeć każą,
Pałką potwierdzą, co to carska wola,
Jagno!“ — na ziemię padł spłakaną twarzą;
A dziewczę szlocha, do serca go tuli:
„Jasiu, oj Jasiu! czyż nie ma nadziei?“
— „Wójt rzekł: w kajdany już cię prawie skuli.
Uciekaj w lasy, żyj jak źwierzę w kniei
I nocą cicho przesuń się granicą.
Tam cię ni Moskwa, ni djabli nie schwycą.“

„Lecz jeśli pójdę, to ciebie mi zbraknie!
Ha, powiedz dziewko, co tu wybrać można?
Oh, jam nie wiedział jak cię dusza łaknie;
Ty nie wiesz jaka w głowie myśl bezbożna!
Słuchaj, jam hulał i śpiewał wesoło,
I o nic nie dbał jeno o zabawę.
A dzisiaj... komuż tak jasno w około,
Kto tak niepomny na wieczorną wrzawę.
I kto tak myśli wśród dziennego skwaru,
Że mu dziewczyna mokre czoło otrze,
I że jest jeszcze coś milsze od gwaru
I od piosenki słowa jeszcze słodsze,
I dzisiaj,.. słuchaj, gdzież ja się podzieję
I jak bez ciebie przejdzie jedna doba?
Jagno — ja płaczem do ciebie się śmieję,
Jagno — oj strasznaż bo w sercu żałoba —
W sołdatach marnieć, albo iść na cudze —
Albo postronek! — Gdzież ja się przebudzę?!!!

A dziewczę słucha, rumieni się, blednie —
I nie wie gdzie już uciekła jej dusza.
Naraz, jak gdyby dobrą przepowiednię
Poczuła, mówi: „Chodź do Mateusza!
On nam poradzi.“ — I poszli oboje
I tęskni patrzą po zielonym świecie;
I w płaczu radzą pod wieczór we troje.
— „Wszak wy bez siebie wyżyć nie możecie?“
Spytał brat starszy. Janek do nóg pada
I nic nie mówi tylko głośno szlocha...
Milczenie wielkać zawsze serca zdrada,
Nie wiele mówi serce kiedy kocha.
Mateusz dalej: „Więc czuję w tej porze,
Że ja wam szczęście dam, moi krewniacy,
A wy się za to pomódlcie w pokorze,
I dobrem słowem wspomnijcie po pracy.
Spij bracie mile; spij i ty dziewczyno,
Niech ci tak wszytkie troski prędko miną.“

Jak nad cmentarzem smutno księżyc świeci!
Jak przy tem świetle każdy pomnik bielszy,
Jaki z tej ciszy głos uroczy leci,
Jaki wśród grobów ten co lepszy, śmielszy!
Woń kwiatów, świerszczów nieprzerwane chóry,
Świerków posępnych szum, brzozy warkocze,
I gwiazdy jasne, srebrzące u góry,
I cienie dziwne, a takie urocze!
A tam pod krzyżem sukmana się bieli,
I garstkę ziemi na piersi ktoś składa.
I Bóg go widzi — ludzie nie widzieli;
Bóg wie — co chłop nasz z rodzicami gada.
I powstał z grobów w poświęcenia dumie
W nieopisanem natchnieniu i męztwie,
I stanął śmiały w popisowych tłumie
I rzekł: Za brata bierzcie mnie w zastępstwie.
Ani mu jedna łza z oczu nie ścieka,
Tak czyn ofiarny podnosi człowieka.

Janek się wzdragał, ale został wreszcie.
Żal brata szczery, dziewki większa szkoda.
„W przyszłym miesiącu, dzieci, się pobierzcie,
Przyjmcie z pokorą, co Bóg z nieba poda,
Wspomnijcie czasem, popatrzcie za rzeki,
Za góry, lasy, za gwiazdą północną.
Myślcie: żem z wami chociaż tak daleki;
Żem wam usłużył, że was kocham mocno.
Nie dziw się, Jagno, że się w smutku chylę,
Że z wami mówiąc jak pacholę płaczę;
We wsi się dobrych lat przeżyło tyle!
Czy wrócę kiedy?... i kogo zobaczę!
Chcąc aby zięba zaśpiewała pięknie,
Chłopię swywolne wpierw oczy wypali.
Tak i z człowiekiem, kiedy serce pęknie,
Jak ptaszę pieśnią, on się łzami żali!
Żegnajcie!... pędzą... żegnajcie, czas w drogę,
Szczęścia wam! czemuż z wami być nie mogę!“

Karol Pieńkowski.

PANNA KAPITANÓWNA

przez

Marka Polnicza.

(Ciąg dalszy.

— Cóż mam robić?
— Daj się wykraść.
— Nie, nie... boję się... nie odważę się na to!

— Ty go chyba nie kochasz! on taki nieszczęśliwy!

— Ach nie mów mi pani tego, bo i tak dość cierpię! serce mi pęka!...

— A nie chcesz się ratować! sama nie chcesz, choć można!... Miło ci będzie dać się całować temu łysemu dyrektorowi...

— Boże! Boże!...

— Śliczne te oczy jego *wybałuszone* jak u chorego wołu!... A ta malina na czole — śliczności.

Dziunia zaczęła płakać.

— No, chodźmy już — rzekła Głuńska. — Więc nie chcesz?... Raz ostatni cię pytam: nie chcesz?

— Chciałabym — ale... nie mogę!... Powiedz mu pani... powiedz... mu... pani... że ja... całe życie..

We łzach resztę słów utonęło.

— Nic mu nie powiem! na cóż zda się rozdzierać mu serce bardziej jeszcze... Ty bo nie masz serca, tylko nerwy. — No, cóż?...

Łzy w odpowiedzi. Audytorowa obróciła kluczem w zamku i pochwyciła za klamkę.

— Nie? — zapytała raz jeszcze. — I jeszcze raz: nie?...

Łzy i tylko łzy.

Glińska zrobiła gest zniecierpliwienia i rzekła szybko a tonem takim, jakim jej mąż nieboszczyk musiał wydawać rozkazy:

— Jutro w południe tu przyjadę. Odprowadzisz mnie na dół i siądziesz do powozu. Namyśl się i bądź gotową!...

Gdy wyszły z alkierza, poznał kapitan zaraz po oczach Dziuni, że płakała. Wystarczyło mu to, aby się domyślić jakichś tajemnych konszachtów.

Głuńska tak była dla niego grzeczna i uprzejma i taką kokieteryą umiała rozchmurzyć marsowe jego oblicze, że po półgodzinnej jeszcze wizycie, powiedział jej przy pożegnaniu, że nie zna niebezpieczniejszej od niej kobiety.

— Jakie szczęście dla pani kapitanowej — rzekła śmiejąc się, — że ja nie mieszkam we Lwowie i po weselu Dziuni zaraz odjadę. No, ale kiedyś mi pani kochana rada, to będę korzystać z mej bytności i przyjadę tu jeszcze jutro w południe, kokietować ci męża!

XXXIV.

Nazajutrz w południe, — było to w wilię oznaczonego dnia ślubu, — zapowiedziana wizyta audytorowej.

Dziunia bledsza jeszcze niż zwykle, oczy patrzące gdzieś bezmyślnie w dal, widne w nich ślady nocy bezsennie spędzonej na płaczu. W wyrazie twarzy rezygnacya, gorzej: apatya.

Kapitanowa smutna, jak niewolnica patrząca z trwogą w oczy swego pana. Ile razy spojrzy na spłakaną twarz córki, łzy do oczu jej się cisną.

Kapitan, ile razy spojrzy na żonę lub córkę, czuje jak mu gniew rośnie w sercu. Klnie w duchu — nie chcąc kląć głośno w obec pięknej audytorowej.

A pani Głuńska? ach, jakaż rozkosznie swawolna, wesoła, rozgadana, trzpiotowata! w jakimże różowym dziś humorze, jaka dowcipna! jaka miła! — Kapitan oczarowany.

Napomknęła w rozmowie coś o miłości... i o małżeństwie... i o panu Antonim. Przechyliła się potem do ucha Dziuni i szepnęła jej słówko:

— Gotowe wszystko. Jedziesz?

Rumieniec żywy oblał bladą twarzyczkę. Czuła jak na nią padł badawczo wzrok ojca. Spojrzała na panią Głuńską tak, jakby błagała o litość. Nic nie odrzekła — ani słówka, ale w całym wyrazie jej twarzy aż nazbyt czytelną była odpowiedź:

— Nie — nie mam odwagi.

Pani Głuńska zaśmiała się srebrnym głosikiem, jakby rumieniec Dziuni najpożądańszą dla niej, na poszepnięte do ucha słówko był odpowiedzią. I znowu żart za żartem, dowcip za dowcipem, niewyczerpanem źródłem tryskały z jej rubinowych usteczek.

I znowu przypomniała młodsze lata kapitanowi, jak zawrócił głowę pewnej doktorowej, która z surowej słynęła cnoty, a w której niegdyś kochał się cały garnizon bez nadziei wzajemności...

— A ten poczciwy Gotfried zastrzelił się z rozpaczy w pokoju jej męża...

I przechyliła się znowu do ucha Dziuni i szepnęła:

— I on dał słowo, że się zastrzeli, jeśli nie pojedziesz...

Powiemy tu i my na ucho czytelnikowi, że pani audytorowa rozminęła się z prawdą tym razem. Środek ten jednak zdawał się skuteczny. Dziunia drgnęła tak, jakby jej kto nóż utopił w sercu

Widział to ojciec, bo i trudnoby było nie spostrzedz. Ale i Dziunia spostrzegła badawcze ojca spojrzenie.

I wysłała jeszcze Głuńska w ciągu dalszej rozmowy oczyma swemi ostatnie pytanie do Dziuni:

— Pojedziesz?

— Pojadę! — odpowiedziało dziewczę błyszczącym wzrokiem. Dość powziąć stanowcze postanowienie, a odwaga wstępuje bezzwłocznie w serce. Dziunia była teraz przygotowaną na wszystko, nie ulękłaby się już niczego.

Została jeszcze parę minut w salonie, potem wyszła do alkierza.

W tej chwili wszedł Antoni.

— Dokąd pani wyjeżdża? — zapytał audytorowej po przywitaniu.

— Warum nicht gar! Audytorowa pojedzie po waszym ślubie.

— A czemuż w powozie pani kuferek?

— A! jakiś pan ciekawy!... Woziłam w nim do modniarki suknie do przerobienia — odpowiedziała bez namysłu.

— Ale i pudło...

— Tak jest; ze staremi kapeluszami.

Kapitanowa spojrzała bezmyślnie przez okno.

— Ależ pani kochana jedzie! chce nam pani istotnie uciec przed weselem Dziuni! I torba podróżna jest na koźle.

— Cha, cha, cha! a prawda! — zaśmiała się wesoło. — Zapomniałam! zupełnie jestem spakowana! — jadę.. ale tylko do hotelu. Do torby cały sklep korzenny Królikowskiego zapakowałam, bo w Stryju niczego dostać nie można. A w kieszonce powozu jest jeszcze butelka Bordeaux.

Kapitan wstał i zbliżył się do okna. Spojrzał, zmarszczył czoło:

— Ha, ha, — rzekł — das ist komisch! i jeszcze dwa jakieś zawiniątka... Pewnie ze sklepu!... Oho! i parasol! na taką pogodę!... To pewnie pani teraz kupiła?

I spojrzał na nią z dziwnym jakimś uśmiechem.

— Tak jest — odrzekła. — Ależ to formalna rewizya moich manatków — i próbowała się roześmiać. Jakoś to już nie szło.

Dziunia wróciła do salonu. Pomięszana była i niespokojna.

— No, bądźcie mi zdrowi moi państwo! Żegnam was. Wyjeżdżam; na ślubie twoim Dziuniu nie będę. Do widzenia!... Do widzenia drogi panie kapitanie!... Pani kochana dziś tak blado wygląda. Niech pani będzie spokojną o szczęście córki!... Prawda panie Antoni?... O, śliczną pan masz narzeczoną!... Do widzenia!

Kapitan chciał ją ze schodów sprowadzić.

— O, w żaden sposób na to nie zezwolę!

Antoni podał jej ramię.

— Za nic w świecie tej usługi dziś od pana nie przyjmę: Dziunia byłaby zazdrosną!... Nie, nie, niech mnie pan nie sprowadza, panie kapitanie: nie rób mi pan tej przykrości!... Ja nie cierpię, jak mnie kto sprowadza... zdaje mi się, że mam już sześćdziesiąt lat..... a nie mam jeszcze, z pewnością jeszcze nie mam!... To już takie moje dziwactwo: nie, nie, nie podam ręki... jużeście mnie wczoraj dwa razy sprowadzili. Nie, — jak się kto z panów uprze, to i ja się uprę i nie pojadę wcale!

— Sehr wohl! tem lepiej dla nas: niech pani zostanie!

— Bo się na serjo pogniewam i nie przyjadę już nigdy do was! na weselu nie będę!... Kapitanie, trzeba kapryśnej kobiecie ustąpić!

— Ha, kiedy pani tak każe, to jesteśmy posłuszni!

Schodziła ze schodów. Była już prawie na dole, zatrzymała się:

— Dziuniu droga! choć-no tu jeszcze na słówko...

Dziunia rzuciła łzawe spojrzenie na matkę i zaczęła zbiegać ze schodów.

Kapitan czuwał, patrzał i widział wszystko: rumieniec na twarz mu wystąpił, a na czole żyły krwią nabiegły. Szedł na dół za córką.

— Ależ pan kapitan słuchać tego nie może, co ja chcę Dziuni powiedzieć...

— Ee?.. a dla czego?

— Bo to nasze kobiece sekreta.

— No, no, ja nie słucham: proszę mówić.

— Ah, jak mam mówić, kiedy pan krok w krok idzie za nami!...

Wsiadła do powozu. (Dok. nast.)

POGADANKI O WŁOSZECH

OLGI HR. KOMOROWSKIEJ.

III.

(*Dokończenie*).

Wspomniawszy o wielkim poście, przejdziemy więc do lokalnych uwag, że jest to czas, w którym teatra włoskie starają się o najświeższe sztuki, najlepsze towarzystwa dramatyczne, najzręczniejsze baletniczki, aby ściągać publiczność, co przywykła do wiekuistej wiosny przyrody, nie upaja się jak my, dzieci północy, owemi cudnie pięknemi, pełnemi woni, szmerów i pieśni wieczorami, ale chętnie zamyka się w dusznych salach i przenosi malowane wdzięki.

Sztuka dramatyczna we Włoszech w ostatnich latach bardzo się podniosła, obecnie bez zaprzeczenia zaraz po Francyi iść może w pierwszym rzędzie, mimo nieprzyjaznych okoliczności w jakich żyć i obracać się jej wypada.

W każdem mieście, miasteczku, a nawet i mieścinie włoskiej, niemal że nie po wsiach, znaleść można po kilkanaście, kilka, a nakoniec

choć po jednym budynku, przeznaczonych na teatr. Sławy europejskiej używają „Fenice“ w Wenecyi, „Scala“ w Medyolanie, S. Carlo w Neapolu, tak co do wielkości, elegancyi, smaku, jak i doborowych towarzystw; ale Turyn, Genua, Bolonia, Florencya, Piza, Luka, Ferrara, Verona, że o innych z braku miejsca nie wspomniemy, posiadają piękne, smakownie zdobne gmachy teatralne.

Loża bowiem dla elegantki włoskiej jest częścią jej salonu, a niekiedy stosownie do pory roku zupełnie go zastępuje. Tam ona strojna jak na bal, z obnażonemi ramiony, jaśniejąca brylantami, wonna i uśmiechnięta, tronuje wśród grona wielbicieli; tam się odbywają oświadczenia, tam kłócą kochankowie, godzą przyjaciółki, schodzą i rozchodzą pary zalotne, a wszystko to przy dźwiękach muzyki i śpiewu, których ów świat elegancki wcale nie słucha; chyba jeżeli Markiza B... dąsa się na niewiernego Carla, lub Contessina N.... udaje, że niechętnie przyjmuje czułe westchnienia Barona L... Tam się jeszcze układają małżeństwa, nicują sąsiedzi, krytykują zjadliwie przyjaciółki; a długie sofy z obu stron tej loży, mogłyby opowiadać tysiące epizodów komicznych, tragicznych, bohaterskich, których bywają niememi świadkami.

Contessa D... bywa tam, nie żeby się unosić nad muzyką Verdiego lub Belliniego; ona zna tylko jeden, najwięcej dwa najcelniejszych kawałków, a to po części z pozytywek ulicznych; podczas ostatniego duetu Normy opowiada głośno tak, że platea sykać musi, o ostatniej toalecie baronowej N..., swej serdecznej przyjaciółce markizie X.... a i w trzeciem „palco“ cudne jęki zdradzonej kochanki brzmią niesłyszane w jej uchu, pełnem nazw skomplikowanych falban, kokard i półsłówek młodego Beppina C..., tuż za nią siedzącego z wyciągniętemi daleko nogami i ziewającego w nietajony sposób. Mieszczaństwo naśladuje świat wyższy, a nie mogąc zawsze prawić o toaletach, hałaśnie również gwarzy: o miłostkach młodzież, ojcowie o interesach, o polityce; matki o kucharkach i córkach na wydaniu, którym trudno męża wynaleść; tymczasem tenor może się na śmierć zakrzyczeć, nikt nań nie uważa.

Dla komedyi i dramatu nieco więcej okazują uszanowania, mówimy nieco więcej, a to nie dowodzi, że religijne milczenie panuje między publicznością; tylko zamiast zupełnie głośno jak na operze, ciszej nieco paplają dalej.

A jednak są tu autorowie rzeczywiście wyborni, i aktorowie pełni talentu. Komedyo i dramato pisarze jak Ferrari, Bersezio, Marcuco, Muratori, Martini, de Benzis, Cavallotti, Giacosa, Cossa, gładkiego stylu, uczciwie wypracowujący, posiadają prawdziwą znajomość warunków scenicznych, wdzięk w układzie, giętkość wyrażeń; wielu z nich stworzyło małe arcydzieła, a wszyscy wcale dobre sztuki. Salvini, Rossi, aktorowie, znani są we wszystkich stolicach świata; Morelli, Pietriboni zdolni, Campi, Pezzana eleganckie i rzeczywiście wykształcone artystki; wymieniamy tu jedynie znakomitości, a jest i wielu innych również pochwały bezstronnej godnych.

Autorowie piszą stosownie do sił i zdolności aktorów; a aktorowie umiejętnie, z dobrą wolą, dopomagają im w oddaniu utworów, zkąd powstaje miła harmonia, co w dobry humor wprowadza pilnych, rozsądnych słuchaczy; a oni za sobą ciągną ów tłum widzów i każą mu słusznie oceniać i smakować.

Od tylu lat i w rozmaitych miastach włoskich odwidzając teatra, śmiało powiedzieć możemy, iż oprócz ma się rozumieć maleńkich mie ścinek lub siół, nie widzieliśmy aktorów krzycząco źle grających, a przedstawiane sztuki chyba tłumaczone bywały nędznemi; oryginalne są, jak powiedzieliśmy, uczciwie pojęte i porządnie przeprowadzone.

Żadne z miast nie posiada stałego towarzystwa dramatycznego, ale wszystkie, niesłychanie liczne trupy są koczujące; śpiewacy i aktorowie podróżują przez rok cały z jednego miasta do drugiego. Jeden tylko główny teatr w każdem większem mieście pobiera malutką zapomogę od miasta, inne najmują się kolejno przedsiębiorcom dramatycznym i często dosyć drogo.

Taki dyrektor, prawie zawsze jest, albo był sam aktorem; złożył mały kapitalik na pierwsze potrzeby, a częstokroć siedzi w kieszeni lichwiarza przez długie lata; wyszukuje on, zbiera, uczy, kształci, rozwija młode talenta; płaci zwyczajnie mało, najczęściej dziennie dzieli się czystym dochodem; każe się wysługiwać wiele, oszczędza i autokratycznie protoguje znaczniejszych, ciemięży lub chytrze wyzyskuje niedoświadczonych; kładzie warunki i tyrańsko się obchodzi z młodymi autorami, potrzebującymi pióro wymienić za niezbędny kawałek chleba; łamie ich, niszczy dowolnie, rzadko jest lubionym od podwładnych, a bojaźliwie lub służalczo uważanym przez dziennikarzy, co tu za gotowy pieniądz nie matkę i ojca, ale sumienie sprzedają co dnia bez najmniejszego względu. Taki to entreprener najmuje gmach na kilkutygodniowy użytek, układa program, co powinien wystarczyć do zapełnienia przeciągu czasu, ogłoszonego i uświęconego zwyczajem; poczem patryarchalnie zwija namiot, zabiera swoją dziatwę i dalej wędruje.

Zwyczajnie tak zwany sezon wielkopostny poczyna się od pierwszej niedzieli postu, a kończy w pierwszą po Wielkiejnocy; ten jest ogólnie najświetniejszym, najdrożej się płacą loże, krzesła, wchód czyli „ingresso.“ W głównych teatrach przez miasto zasilanych, jak to powiedzieliśmy wyżej, loże pierwszego piętra „pian nobile,“ należą bezwarunkowo do rodzin, co się najwięcej przyczyniły do wzniesienia gmachu, jest to procent od kapitału; i sprzedawane innym na cel towarzystwa, dopiero za pozwoleniem właścicieli. Sezon wiosenny trwa maj i czerwiec; w lipcu i sierpniu otwierają dzienne teatrzyki, i małym kosztem pozostała z konieczności lub braku dostatecznych funduszów publiczność, bawi się w nich mniej może, niż poci. Wrzesień, październik i połowa listopada, są tak zwane „stagione morta,“ bo wszyscy co mogą rozporządzać choćby szczupłym zapasem, bawią w górach, między winnicami, w swych domach wiejskich; na adwent dopiero nadciągają świeże zastępy, co na zapusty ustępują miejsca znów innej braci.

Bez zaprzeczenia taka nieustanna zmiana publiczności nie może być miłą artystom; częstokroć sprowadza służalstwo kaprysom owych przeróżnych tyranów, nie daje czasu wyrobić się smakowi widzów, wzajemnej sympatyi, a co najgorzej, że tych biednych nomadów zostawia na starość bez żadnego utrzymania, jeśli sobie sami w ciągu żmudnej pielgrzymki, do skrzętnej mrówki podobni, nie uzbierali małego skarbu na złe czasy.

Przed kilkoma tygodniami, odbył się w Medyolanie kongres dramatyczny, pod przewodnictwem powszechnie lubionego i poważanego dyrektora Alamanno Morelli, i komedyo-pisarza Pawła Ferrari. Na nim radzono właśnie o radykalnej zmianie mającej być zaprowadzoną już w ciągu bieżącego roku, w stosunkach dyrektorów do reszty członków towarzystw, pisarzy i rad municypalnych; prawiono tam wiele o przyszłości owych członków, tak niepewnej i zależnej na starość od wszelkiej biedy; ale sądzić nam wypada, znając ile w tym kraju rodzi się projektów, a jak mało wchodzi w używanie, iż dużo jeszcze upłynie czasu, nim się do dojdzie do ostatecznego rozstrzygnienia tej kwestyi. Walczyć z długoletniem, przyzwyczajeniem, nadawać ustawy tym co do wolnego bujania nawykli, jest dosyć trudnem zadaniem; tem bardziej, iż tu aby ustalić, w miejscu osiedlić towarzystwo w większych przynajmniej miastach, zażądać musiano wszędzie znaczniejszej zapomogi; opłakany stan wszystkich bez wyjątku municypiów czyni już to żądanie prawie niepodobnem.

Co równie przyczynia się do miłego wrażenia, jakie odwiedzający widowiska wynoszą ztamtąd, to jest to staranne naśladowanie stosownie do epoki w jakiej rzecz się odbywa, budynków, umeblowania, ubiorów, zbroi; również sztuczne, artystyczne malowidła, dekoracye, stanowiące zupełnie osobne rzemiosło, co prawie sztuką nazwać już można. Mówimy, ma się rozumieć, o wielkich miastach i znaczniejszych teatrach; w mniejszych bowiem, jak wszędzie, znajdują się łataniny, stosownie do środków mniej więcej dostatecznych, jakimi towarzystwo rozporządza.

Harmonijnie umieją grupować chóry tak co do barw jakoteż i ogólnego układu; balety w głównych teatrach bywają bardzo dobre, a i w mniejszych nie złe wcale.

Tyle co do komedyi, dramatu i baletu; ale zwracając się do opery, niepodobna nie poświadczyć wielkiego upadku, zwrotu nowomodnego ku wystawie, dekoracyom, muzyki zaś i tu używają za środek nie za cel. Młodzi kompozytorowie od lat dziesięciu przeszło, weszli na fałszywą drogę naśladowania. Prosta, namiętna zmysłowa pieśń włoska, poczyna ginąć w nowych utworach, a że im brakuje niemieckiej znajomości instrumentacyi, zebrania, skupienia ducha i myśli północnych ludów, tworzą więc naśladowaniem źle pojętem, pół płody słabowite, w których czuć rozdźwięk, łamanie się bezcelowe, dwuistość nużącą ucho i smak rażącą.

Petrella napisał kilka oper, z tych jedna Jone przeżyła go, nieśmiertelną jednak nie zostanie; Marchetti równie parę, a Ruy Blas najlepsza ze wszystkich, na krótki tylko czas doszła zaszczytu katarynki, z której się naśmiewają niektórzy, a co jednak naszem słabem zdaniem jest odgłosem opinii publicznej, i choć ze szkodą melodyi, ale nie ze szkodą jej twórcy działa wspomnieniem. Inni jeszcze młodsi i starsi, napisali różnorodne posklecane jakieś parodye wielkich mistrzów, lub blade naśladowania, jeżeli więcej uczciwymi byli, ale na tem kończy się muzyka dramatyczna dzisiejsza.

Komiczna za to lepiej nierównie przechowuje dawne tradycye; znamy kilka operetek ładniejszych od monotonnych powtarzań Lecoqua, a jednym z tych wdzięcznych kompozytorów jest Usiglio, dalej Ricci i młody pół Włoch pół Anglik, Hall. Są to lekkie, nie karczemne, ani sprośne pijackie okrzyki; ale wesołe, w dobrym smaku, choć mdłe nieco zabawki.

*

Kościelny spiew, cudnie głębokie psalmy Marcella, pełne powagi utwory Palestriny, wzniosłego, czystego Cherubiniego, zastąpili nieumiejętni organiści, a kiedy nie Offenbacha od ucha rzępolą, lub na organach niewprawną, ciężką ręką wybębniają, to i ich własne utwory nie wiele są stosowniejszemi do celu i miejsca. Nie masz w tych dziełach nieudolnych, jak w głowach słuchaczy, mitologicznych nawet wspomnień; Pan na flecie i Marsyasz, że nie mówimy o Apollinie, pewnie dźwięczniej i rozsądniej w gajach Olimpu przygrywać musieli.

W Rzymie, Medyolanie, Neapolu, istnieją konserwatorya muzyczne, z tych medyolańskie jest jeszcze najlepszem; rzymskie bardzo nędzne; a neapolitańskie upadło i z biedą, powolnie podnieść się usiłuje.

Ogólnie zasypia się tu we wszystkich sztukach pięknych, na słusznie niegdyś uzbieranych laurach; zasypia jednak nie snem odpoczynku, ale znużenia i wyczerpania; a, jak dotąd, mało okazuje się jeszcze chęci obudzenia się do czynu, z nowym zasobem sił rozsądnie pokierowanych.

Realizm opanował owe namiętne dzieci rozkosznego południa; chcą się gwałtem przerobić na Prusaków; starożytną białość marmurów matki-ojczyzny ich ducha, wspaniałej Hellady, zastępują nowożytnym pokostem berlińskim, a sól attycką tak jeszcze widoczną w pismach wielkich znakomitości szesnastego stulecia, chętnie zmieniają w rubaszne, piwem cuchnące żarciki. Jak wszelkie małpowanie zbyt przesadne, tak i te zachcianki germanizmu nie są im wcale do twarzy i nie radzilibyśmy, gdyby nas usłuchać chcieli nowatorowie, pędzić równie chyżo po tej śliskiej drodze... kark złamać bowiem nie trudno; a w owym bratnim uścisku zbyt gorącym, mogliby, jak Jo, spłonąć bez śladu.

Malarstwo również a mianowicie historyczne, nosi ową cechę upadku, zwiastującą śmierć bliską, podobną do tej, jakiej uległo już religijne. Obrazy wielkich rozmiarów jakiejkolwiek bądź treści, nie udają się już więcej Włochom. Tycyany, Veronesy, Bordone, odstraszająco patrzą z ram świetnością kolorytu, bogactwem szczegółów, śmiałością myśli, na zuchwałych naśladowców; Rafaele i Correggie, wdziękiem i pięknością tłoczą do ziemi smętnych kopistów.

Myśl nie leci w świetne czasy przeszłości i odtwarzać jej zapomina; ani też w niebiosa nie umyka, by się kąpać w jasności i sprowadzać ją na płótno, a sceny z życia codziennego zdradzają dziwną nieuwagę i roztargnienie. Tu i owdzie, ale rzadko, jakiś maleńki obrazek błyśnie nieudaną wesołością, prawdą nie zbyt rubaszną; grzeszy jednak kolorytem, wykonaniem niedbałem, od niechcenia. Wnętrze izby, plac jarmarczny, cmentarz, będą wiernie oddane, a osoby niby maryonetkami z drzewa; braknie życia tym członkom, mięsistości tym ciałom, wyrazu zręcznie pochwyconego całym postaciom, a jeżeli nie są różowo czekoladowe, na tle różowo lazurkowego nieba, nogi mając w baletowej lub akrobatycznie wymuszonej pozie oparte na szpinakowej zieleni; to będą mieć na odmianę czekoladową różową ziemię, szpinakowe drzewa nad głowami, a same lazurkowo-różową cerę, z dodatkiem szafranowych włosów. Co tu się podobnych obrazów w nowszych czasach maluje, wyliczyć niepodobna; i trwogą obfitość ta napełnić może każdego szczerego lubownika sztuki, trwogą o przyszłość, a nietajonem obrzydzeniem teraźniejszości.

Z tych barw jaskrawych, wpada się jednocześnie wprost do przeciwnych, to jest szarych na szarem; niby jakiś zakopcony fałszywy Rembrandt, wymokły w mocnym ługu i kapryśną ręką psotnego dzieciaka rozmazany następnie.

Widzieliśmy parę tygodni temu, na jednej wystawie malarskiej, obraz w tym rodzaju, mający podług katalogu przedstawiać rozbitka, trupa wyrzuconego morzem na wybrzeże. Wszystko tam pływało w jakimś brunatno szarym sosie, jak karp po polsku; a ciało trupa, do tłustej białej cielęciny podobne, dalekiem zaiste było od rzeczywistości zielono sinego, wodą obrzmiałego topielca. Nad tym trupem zawisło niebo podobne do zmiętej, szarej znów bibuły; nie wiadomo dla czego tak się pochmurzyło markotnie, bo morze spokojne, istna szara polewka, a dla oświecenia tego ciała białego, gwałtem słońca potrzeba. Ale malarz nie zastanowił się nad tem i stworzył dziwoląga, co śmieszył nawet największych profanów.

Krajobrazy, architektoniczne przedstawienia wnętrz świątyń, pałaców, są wyborne i tu. We Florencyi znajdują się bracia Marco rzeczywiście znakomici pejzażyści, ogólnie znani i cenieni. Widać w nich niezaprzeczenie, że są natchnieni dziełami Claude Lorraina, Poussina, Orizzonte, i nakoniec Calama. Krajobrazy te są pełne prawdy, czucia, myśli, wdzięku rozlanego bez manieryzmu; prospektywa pochwały godna, lekkość i powietrza podostatkiem; wszystko razem czyni je zaraz na pierwszy rzut oka sympatycznemi, a po bliższem rozpatrzeniu się w nich, nie tracą, lecz zyskują.

Na nich zaczyna się i kończy prawie szczupły szereg malarzy uczciwych. O innych wspominać szczegółowo nie warto, gdyż są mniej jeszcze niż miernymi. W tej chwili wszyscy zazdrośnie ukrywają arcydzieła, takiemi podług ich mniemania bywają te twory, i dopiero na wystawę Paryzką główny korpus wyruszy; wnosząc jednak z widzianych w ostatnich czasach w Rzymie, Florencyi, Medyolanie i Genui próbkach, rokować nie możemy świetnego powodzenia; chyba że bardzo chwalebną chęcią emulacyi ogrzani, na serio pomyślą i popracują.

Łatwo im tu bowiem malować, niech tylko okiem rzucą w koło siebie uważnie. Nasze północne wyobraźnie mimowolnie upijają się tem niebem błękitnem, nieustannie tego roku bez przesady jak turkus, gdyż zimy wcale nie było, a wiosna już w całym blasku barw i woni. Ale oni przywykli do tego, i obojętnie przechodzą koło tych cudów przyrody, nie patrząc nawet. Zwyczajna ludzka rzecz, nie cenić co się posiada, a płakać i żałować niedosiężonego cacka.

W przyszłej pogadance powędrujemy między lud, w góry; pobujamy razem wśród rozkosznych dolin, uszczkniemy w przelocie wszędzie nieco drobnego kwiecia na pamiątkę; bo ludzie są niestety tylko ludźmi, ale ziemia tak piękną i bogatą w rozmaitości, że jeśli czasem od nich zniechęcone oko się odwróci, to lepiej spocząć na niej i zaczerpnąć w tym odpoczynku jaśniejszego i pobłażliwszego poglądu.

Umierający Kordyan nie żałował ludzi, lecz chciał się obeznać

„*z ziemią piastunką*...“

Ona to szmerem fal morskich, wonią nocy wiosennej, rosą ożywczą drżącą na spragnionych roślinach, godzi nas z niemi i... z samemi sobą, kiedy w piersi coś jęknie niby żal.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 18. kwietnia.

Księgarnia p. F. H. Richtera dokonała już kompletnego wydawnictwa dzieł Wincentego Pola, właśnie tom dziesiąty (ostatni) opuścił prasę. Wydawnictwem tem jak i poprzedniemi (Biblioteka Narodowa, Strzecha) p. Richter zajął jedno z najpoważniejszych miejsc między lwowskimi wydawcami. Wydawnictwa jego odznaczają się zarówno wyborową treścią jak i zewnętrzną formą, to też i dzieła Pola wyszły na ładnym welinowym papierze, drukiem czystym, ozdobnym. Cena zaś stosunkowo do kosztowności wydania jest bardzo umiarkowaną. Całe wydanie kosztuje 30 złr. czyli po 3 złr. tylko za tom.

* * *

Dzienniki lwowskie jak „Dziennik Polski“, „Ruch literacki“ i „Gazeta Narodowa“ powtarzając za reakcyjnemi pismami warszawskiemi podały fałszywe sprawozdanie o odczytach Spasowicza, krzywdzące prelegenta i wprowadzające w błąd opinię publiczną. Sądziliśmy, że skoro odczyty zostaną wydrukowane i nadejdą do Lwowa, redakcye poczują się do obowiązku sprostowania na mylnej podstawie wydanych sądów, dotąd jednakże nie doczekaliśmy się tego. Zdaje się, że zwykła uczciwość, że obowiązek dziennikarski wobec czytelników, dobro publiczne wreszcie powinny by skłonić redakcye do tego kroku, zwłaszcza, że wygłaszając sądy opierały takowe na pobudkach patryotycznych, więc tenże patryotyzm nakazywałby więcej uszanowania i uznania dla człowieka niezaprzeczonych zasług, dla prawd przez niego w imię dobra powszechnego wygłoszonych. Nie żądamy, ażeby redakcye solidaryzowały się z postępowym kierunkiem p. Spasowicza, ale żądamy sumiennego sprostowania fałszywie zacytowanych faktów.

Inna rzecz z „Czasem“, ten rozmyślny fałszerz, którego bronią jest kłamstwo, nie idzie nigdy prostą drogą. Dowiadujemy się, że p. Stanisław Tarnowski gorąco bronił w Warszawie Spasowicza i pisał się na jego poglądy, „Czas“ zaś jest organem p. Tarnowskiego, lecz zupełnie inne podaje sprawozdanie z odczytów i stanowczo przeciwko nim się oświadcza, oskarżając między innemi Spasowicza o szerzenie panslawizmu, o którym Spasowicz powiedział w swoich prelekcyach: „Przez nienawiść ku rewolucyi, Pol potępia cały zachód i bratając się mimowiedzy swojej z najskrajniejszymi z tak zwanych Słowianofilów moskiewskich woła, że zachód ten złożony z głuchych i niemych narodów przegnił do szczętu, i że nic z niego nie będzie“. „Największą trudność przy tworzeniu się Słowiańszczyzny stanowi brak wspólnych nici dziejowych. Poeta zaś buduje gmach na tej utopii, to jest właściwie nie na dziejowych faktach, a już na czysto rasowych przymiotach, wbrew wiadomej naszej tradycyi, stawiącej kulturę wyżej rasy, za co stronnicy słowiańskiej rasowości, n. p. Samaryn nieraz nas nazywali odstępcami Słowiańszczyzny.“ „Panslawizm jest mgławicą, która nawet nie wyłoniła się jeszcze z materyi kosmicznej.“

Niechże czytelnik osądzi wobec dosłownych ustępów z odczytów p. Spasowicza o sumienności naszego dziennikarstwa.

* * *

Skoro już wdaliśmy się w polemikę, więc jeszcze parę słów odpowiedzi „Strzesze“, która, z przyjemnością to zapisujemy, nie dała się porwać na wędkę prasie warszawskiej i wobec odczytów Spasowicza zachowała się zupełnie objektywnie i sympatycznie dla prelegenta, nie potrafiła tego stanowiska zachować wobec zajść jakie miały miejsce w Warszawie po odczytach. — Czytamy w „Strzesze“: „Nie wypada mi tu przemilczeć... o haniebnym postępku pewnej części młodzieży warszawskiej akademii, która będąc zarażoną doktrynami moskiewskiego nihilizmu, ostentacyjnemi oklaskami witała każdy ustęp odczytu p. Spasowicza, w którym jej się podobało dopatrzeć tendencye z jej zapatrywaniami licujące, czego nawiasem powiedziawszy tam wcale nie było. Skarcona za to przez znanego humorystę, Bolesława Prusa, posunęła się rzeczona część młodzieży do gwałtu napadając na ulicy swego oponenta.“

Nasamprzód niezrozumiałą jest rzeczą, jak mogła młodzież warszawska zachwycać się ustępami nihilistycznemi, których wcale w odczycie nie było? I dla czego koniecznie mają być nihilistami ci, co szukali doraźnej, brutalnej satysfakcyi od p. Prusa? — Nareszcie zkąd się wzięło między młodzieżą warszawską tak dużo nihilistów, bo aż połowa uniwersytetu, co głosowanie wykazało, gdyż połowa pochwalała gwałt, a druga połowa potępiała, skoro do tego czasu nie było tam nihilistów wcale i cała Warszawa zachwycona była młodzieżą, dopomagając jej wszelkiemi środkami do kształcenia się?

Nihilizm jest to wytwór moskiewski, nihiliści znani są tylko w Moskwie i, jak znakomicie tenże sam Spasowicz w sławnej obronie spisku Nieczajewa, przed kilku laty wykazał w Petersburgu, nihilizm mógł się tylko wytworzyć w moskiewskiem społeczeństwie, nie mającem żadnych ideałów w przeszłości (o czem nasze dzienniki pisały, ale już zapomniały). Dziś stronnictwo to w Moskwie nawet prawie nie istnieje, wyrugował go socyalizm. Zkądże by się nihilizm wziął w Warszawie i to tak ni w pięć, ni w dziewięć na zawołanie? — Oto po prostu stworzyła go bujna imaginacya pism galicyjskich i poznańskich.

Dla czegoż raczej nie przypuścić, że młodzież gorąco odczuła głębokie poglądy Spasowicza, jego energiczne wystąpienie przeciw zastarzałym przesądom tamującym postęp, i dla tego wyraziła swoje żywe zadowolenie. Jest to przecie przypuszczenie najprostsze i niewątpliwie najprawdziwsze.

Że młodzież uczuła się obrażoną, może zupełnie niesłusznemi, a w każdym razie zbyt nie parlamentarnie wyrażonemi zarzutami p. B. P., że bez głębszego namysłu szukała doraźnego wymierzenia sobie sprawiedliwości, na to nie potrzebowała być nihilistyczną, tylko poprostu krewką, to potrafi każda młodzież mająca krew w żyłach.

Fakt sam był smutny, ale przedewszystkiem potrzeba szukać przyczyny, otóż pomimo całego naszego szacunku dla p. B. P. wyznać musimy, że on dając powód, był winnym całego zajścia. Nie usprawiedliwia to młodzieży, ale ją do pewnego stopnia tłumaczy. — Cóżbyśmy powiedzieli bowiem o młodzieży warszawskiej, gdyby ta bez protestu przyjęła obelgę sobie zrobioną?

Najlepiej będzie, gdy z ostatecznym sądem zaczekamy, aż będziemy mieli i w tej sprawie pozytywne podstawy do wydania sądu.

* * *

Zasłużony na polu prac narodowych emigrant *Kalisz*, liczący wieku lat 60, zamieszkały w Galicyi a w ostatnich latach w Nowo Sądeckim okręgu, znany z prawego charakteru i gorliwości obywatelskiej, został dnia 16 kwietnia b. r. przez władze austryackie oddany w ręce Moskali. P. Kalisz podał się o obywatelstwo austryackie, wskutek czego jak zwykle władze tutejsze zapytały Moskali o przeszłość Kalisza i co się samo przez się rozumie, otrzymały jak najgorszą opinię. Opierając się na takowej pan *Karol Cieśliński* prokurator w Nowym Sączu, kazał Kalisza uwięzić i wytoczył mu proces. Sąd Nowo Sądecki większością głosów, skazał go na wydanie Moskalom, lecz że nie było jednomyślności w sądzie, sprawa odesłaną została do Krakowa, potem do Wiednia a uzyskawszy wszędzie potwierdzenie wyroku, nie mogła na razie być załatwioną z powodu ciężkiej choroby p. Kalisza. Za powrotem dopiero do zdrowia, został wydany Moskalom.

Dziennikarstwo nasze niestety nie poczuło się w obowiązku w porę oświecić opinii publicznej i władz krajowych o niesprawiedliwości wyroku Nowo Sądeckiego i zapobiedz gwałtowi, jaki został dokonany. Wiemy przecie z doświadczenia, że ile razy dziennikarstwo w porę pospieszyło wyjaśnić sprawę, tyle razy dobre usługi dziennikarstwa najkorzystniej wpłynęły na decyzyę władz. Smutny wypadek jaki spotkał Kalisza, niech będzie przestrogą i nauką, jak pilnie potrzeba przestrzegać przyjętych obowiązków i jak nie można lekceważyć takowych.

* * *

Zakład narodowy imienia Ossolińskich, objął już wydawnictwo i administracyę dawniej wydanych książek szkolnych dla szkół normalnych. Niktby się nie był domyślił, ile trudności miała Rada szkolna z przeprowadzeniem tej sprawy, która tak zdaje się być naturalną, że książki szkolne dla Galicyi, w Galicyi powinny być drukowane. Ale już się stało. Pierwsze teraz żądanie do Zakładu, aby zwrócił uwagę na niesłychanie wygórowaną cenę elementarza. Dziecko zanim się nauczy czytać, podrze kilka elementarzy, niepodobieństwem jest zmuszać ubogich rodziców do płacenia po 33 centy za każdym razem. Towarzystwo rolnicze warszawskie wydało w swoim czasie elementarz, który kosztował 10 groszy t. j. znacznie mniej jak 10 centów. Licząc na wielki odbyt, mając na uwadze, że wszystkie elementarne szkoły z przepisanego przez Radę szkolną elementarza korzystać muszą, niepostawimy wygórowanego żądania, jeżeli będziemy się domagali, aby cena elementarza była zniżoną do 10 centów. Jeżeli zwrócimy uwagę, że tylko ubogie klasy, dla których kilka centów stanowi już różnicę, kupują szkolny elementarz, bo klasy zamożniejsze szukają wydań ozdobnych, że muszą zapłacić za takowy 33 centy, a w paru tygodniach, gdy dziecko ten zedrze, kupować drugi i trzeci, to już będziemy widzieli, jaką tamą w szerzeniu nauki czytania, jest dzisiejsza, zapewne nigdzie w podobny sposób niepraktykowana, wygórowana cena elementarza.

Zresztą u nas tylko nauka polskiego czytania jest tak drogą, bo niemiecki elementarz kosztuje 12 centów.

TEATR.

(*Szczęście Walusia*, komedya w 5 aktach polecona przez pierwszą komisyę konkursową imienia Fredry).

W „Podziale Ziemi“ Szyllera, poecie, który się spóźnił, zatrzymany gdzieś fantazyą, nic się ze skarbów ziemskich nie dostało. Ale Jowisz nie chce być niesprawiedliwym, i w zamian za to upośledzenie na ziemi, daje poecie wolny wstęp do nieba, ile razy ten zechce i wspiąć się do niego potrafi. Tem niebem, zamkniętem dla innych ziemian, jest natchnienie, jest poetyczne usposobienie, w którem, jak w cudownem zwierciedle, świat się inaczej, piękniej, idealniej przedstawia.

Kto lepiej wyszedł? Poeta, czy rolnik, kupiec i t. d.? Jest to kwestya sporna. Prawda, że nikt prócz poety nie dozna tak wzniosłych rozkoszy, jakiemi są rozkosze natchnienia, ale trwają one krótko w porównaniu z długością nędzy ludzkiej i poeta zstąpiwszy z obłoku na padół ziemski, staje się najuboższym z ludzi.

Tę kwestyę sporną „Szczęście Walusia“ rozstrzyga na korzyść poety. Naturalnie pod poetą rozumieć należy nie tylko piszącego wiersze, ale każdą duszę artystyczną zdolną wspiąć się do wyższych sfer sztuki. Waluś jest muzykiem, bardzo a bardzo ubogim, ale wesołym i szczęśliwym, bo zakochanym w swojej sztuce, która mu nędzę ozłaca i szare życie maluje kolorami tęczy.

Zresztą Waluś jest tylko uczniem Jarosza, starego artysty-biedaka, który jest właściwym przedstawicielem sztuki w „Szczęściu Walusia“ Dla Jarosza muzyka jest wszystkiem, reszta jakąś niekształtną masą bez racyi bytu. Ze skarbów ziemskich pożąda on nadzwyczaj mało: kilka szklanek piwa zastępuje mu wszystko, cokolwiek zbytek ludzi mógł wymyśleć.

Obok Jarosza bardzo szczęśliwie jest umieszczoną postać Rożenka. Rożenek, Czech rodem, urodził się już muzykantem, ale artystą nie został. Lubi on muzykę, ale jeszcze więcej lubi *penizy*. Za to jego córka Anna, jest prawdziwą artystką. Wpada ona, jak promień słońca, do szarej izdebki artystów, rozwesela ją, ożywia i budzi miłość w Walusiu. Szczęściem dla Walusia jest to miłość wzajemna.

Ale ta miłość Walusia dla Anny i dla sztuki jest wystawiona na wielką próbę. Na biednego artystę spada wielkie dziedzictwo. Nie wielkiby to jeszcze był kłopot dla Walusia, gdyby nie kodycyl przy testamencie, nakazujący spadkobiercy pod karą utraty majątku przez lat sześć gospodarować na wsi i ani razu w tym czasie nogą nie postać w stolicy. Trzeba się zatem pożegnać z rozrywkami artystycznemi, które są tem dla artysty, czem woda dla ryby, trzeba się zakopać na wsi i zająć gospodarstwem, o którem Waluś nie ma najmniejszego pojęcia. Ale czyż znowu można wzgardzić taką fortuną, jak ta, co się teraz sama oddaje w ręce Walusiowi? Jarosz wprawdzie doradza tak uczynić, ale Waluś, opanowany, porwany prawie przez krewnych, którzy się teraz cisną do niego, choć przedtem o nim nie pamiętali wcale, poddaje się warunkom, wyjeżdża na wieś, a z nim jedzie także i Jarosz. Po co? moglibyśmy zapytać trochę zdziwieni. Jarosz tłómaczy powody swego odjazdu: ma on nadzieję jeszcze uratowania Walusia dla sztuki.

Że Waluś wyrzeka się na lat sześć Warszawy, a z nią kwartetów, kwintetów, opery, teatrów ogródkowych i piwa bawarskiego, tego mu dalipan tak bardzo za złe mieć nie można. Ale można mu mieć za złe, że tak łatwo opuszcza Annę. Wprawdzie Anna tak kocha sztukę, (jest śpiewaczką), że niczem się od zawodu artystycznego odwieść nie dała, jednakże, jeżeli naprawdę kocha także i Walusia, to tam może jakiś kompromis byłby możliwy. Bądź co bądź, stało się, Waluś na wsi i przez dwa akty (trzeci i czwarty) patrzymy na obraz jego mąk gospodarskich, dość epizodycznie naszkicowany.

Wieś jest przedstawioną jako czyściec dla natury artystycznej. Jest w tem przedstawieniu dość prawdy, ale jest i trochę przesady, a przynajmniej jednostronności. Natury artystyczne potrzebują do tworzenia bodźców zewnętrznych, jakie mieć może tylko wielkie miasto, ale potrzebują także i skupienia, które wieś pełną ręką daje. Zresztą, o ile twórczym artystą jest Waluś, tego my nie wiemy; nie odkrywa on nam dostatecznie swej duszy i tylko z przywiązania, jakiem go Jarosz otacza, można się domyślać, że jest w nim dobry materyał na artystę. Co się tyczy towarzystwa wiejskiego, to jest ono przedstawione w karykaturze, jakkolwiek należy przyznać, że karykatura jest zgrabną. Mniej udatnie przedstawione są kłopoty gospodarskie Walusia.

Komedya kończy się tryumfem sztuki nad mamoną. Waluś nie może wytrzymać w otoczeniu wiejskiem, wskakuje na wózek odjeżdżającego Jarosza i umyka z nim do Warszawy. Naturalnie, odziedziczony majątek, na mocy kodycylu, przestaje być jego własnością, ale Waluś odzyskuje swobodę, życie stołeczne, muzykę i — Annę.

Sztuka ta, owoc młodego talentu, dobrze o nim rokuje. Wiele ruchu, kilka postaci zręcznie i z humorem nakreślonych, wreszcie tło nowe, jakiem jest świat muzyczny, con amore odmalowany, wszystko to zapewnić jej winno miejsce w repertoarzu, pomimo takich wad, jak pewna surowość w rozwinięciu intrygi, epizodyczność i karykaturalność w przedstawieniu świata wiejskiego, pomimo nareszcie, że sam Waluś nie jest dość zajmującym, jak na bohatera sztuki.

Pan Zboiński z Czecha Rożenka zrobił postać tak komiczną a prawdziwą, że widzowie kładli się od śmiechu. Wybornym hreczkosiejem był p. Linkowski, a jego aha! ehe! i „to dobrze,“ modulowane w sposób bardzo zręczny, budziło również huczne salwy śmiechu.

J. T.

Wiadomości z kraju i ze świata.

JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

Na medal zapisali się:

19. Wna Marya Jeleniowa w Peszcie.
20. Wny Wiktor Zienkowicz w Medyolanie.
21. Wny Gustaw Szelański w Medyolanie.
22. Wny Oskar Żebrowski we Francyi.

Na *Złote myśli* przedpłacili:

40. Wna Malwina Studzińska w Korolówce.
41. Wny Michał Zajączkowski w Tarnowie.

Na *Wybór pism* zapisali się:

10. Wny Stanisław Podolecki w Tarnopolu.

Literatura, sztuka i nauka.

*** 133 zeszyt *Dziejów powszechnych Szlossera*, opuścił prasę.

*** Nakładem Towarzystwa pedagogicznego wyszła w Kołomyi rozprawa prof. Antoniego Kosiby *O uczuciach ze stanowiska psychologii*.

*** *Chełmianie* powieść na tle dziejów z epoki 1795 r. osnuta, pióra Kajetana Kraszewskiego, ma wyjść w tych dniach na widok publiczny; całość obejmuje 27 arkuszy druku.

*** Przekład *Pana Tadeusza*. W ostatnim zeszycie „Kroniki Rodzinnej“ czytamy: „Literatura niemiecka wkrótce zapewne otrzyma nowy całkowity przekład „Pana Tadeusza“, godny zarówno tak naszego wieszcza, jak i starej sławy piśmiennictwa niemieckiego, słynnego z wzorowych przekładów arcydzieł zagranicznych. Tłómaczem jest dr. Winklerski, ur. w ziemi Chełmińskiej (w Grudziądzu), kształcony w gimnazyum w Chełmnie, a następnie w uniwersytecie wrocławskim, obecnie zamieszkały w Łysowodach, nieopodal Horodka w gubernii Podolskiej, dzielnie władający zarówno mową ojczystą i niemiecką, a znający sprawy rodzinne i umiejący je cenić, jak żaden obcy ani poznać, ani ukochać nie zdoła. Pan Winklerski powziął prześliczną myśl zapoznania Niemców ze skarbami piśmiennictwa polskiego, w całym szeregu przekładów, które według jego obliczenia utworzyłyby ośm tomów. Do wydawnictwa tego wejść mają: Goszczyńskiego „Zamek Kaniowski“, „Sobótka“ i „Oda;“ Słowackiego „Anheli“, „Balladyna“ i „Ojciec Zadżumionych;“ Krasińskiego „Irydyon“, Rzewuskiego „Pamiętniki Soplicy;“ Paska „Pamiętniki;“ Mickiewicza „Pan Tadeusz;“ Wacława Potockiego „Wojna Chocimska;“ Krasickiego „Monachomachia“ i kilka „Satyr.“ Niektóre z tych przekładów są już gotowe, nad któremi autor właśnie pracuje, niektóre dopiero w projekcie.

*** W tych dniach wyszła w Warszawie broszura dra Saxa napisana po francusku, a zawierająca opis powstania i przebiegu ospy, oraz uwagi o sztucznem jej szczepieniu.

Broszura ta nosi tytuł: „Traité populaire de la petite vérole, suivi d'un aperçu sur la vaccine.“

*** Nakładem dziennika *Kaliskie Gubernialne Wiadomości* wyszła z druku broszura, zawierająca wiele ciekawych dokumentów dotyczących historyi miast, położonych w gubernii kaliskiej.

*** Pojawiło się drugie poprawne wydanie „ABC — czyli nauki czytania i pisania,“ znanej publikacyi, opartej na metodzie poglądowej.

O rzeczy tej pióra ś. p. Jeskego niejednokrotnie wspominaliśmy, tu więc tylko zaznaczyć możemy, iż nowy wydawca pan Wanadasow opatrzył ją pewnemi uproszczeniami a nakładca Arct w Lublinie puścił w świat wcale ozdobnie.

*** Znany badacz literatury p. Skimborowicz ukończył ostatnimi czasy obszerną dwutomową historyczną monografję p. t. „Historja massonów w Polsce.“

Rzecz to wielce ciekawa i dotychczas nieopracowana.

Pan S. do dzieła swego zużytkował wiele cennych oryginalnych dokumentów, przechowywanych w archiwum w Warszawie, Petersburgu Moskwie i Wilnie.

*** Zajmujący odczyt prof. Korzona p. t.: „Historyk wobec narodu i wobec ludzkości“ zostanie zamieszczony w jednym z najbliższych numerów *Tygodnika Ilustrowanego*.

*** W roku bieżącym, staraniem petersburskiego towarzystwa mineralogicznego w dolinach rzek Bugu i Narwi, w obrębie gubernii łomżyńskiej i suwalskiej, robione będą wycieczki i poszukiwania mineralogiczne. Ks. Gedroic, kandydat dorpackiego uniwersytetu i członek towarzystwa, którego do owych poszukiwań wydelegowano, ma także w r. b. przedsiębrać mineralogiczne wyprawy w gubernii grodzieńskiej. Nie potrzeba dodawać, że podobne poszukiwania mogą być dla naszego przemysłu niezmiernie ważne.

Statystyka.

*** Statystyka Londynu. Dzienniki angielskie zawierają bardzo ciekawe dane, dotyczące statystyki Londynu na rok 1877, z których dowiadujemy się, że stolica Anglii zajmuje przestrzeń przeszło 700 mil angielskich kwadratowych i liczy ludności 4,000,000 dusz, pomiędzy któremi jest około 100,000 cudzoziemców. W mieście mieszka więcej katolików niż w Rzymie, więcej Irlandczyków niż w Dublinie, więcej Szkotów niż w Edynburgu i więcej nakoniec Żydów niż w Palestynie. Na każde 5 minut przytrafia się jedno urodzenie, a na każde 8 minut jedna śmierć. Na ulicach Londynu, mających w ogóle długości około 700 mil angielskich wydarza się codziennie przeciętnie siedm nieszczęśliwych wypadków. Codziennie ludność zwiększa się o 123 osoby, a zatem na rok o 45,000 ludzi. W regestrach policyjnych znajduje się 117,000 zapisanych nazwisk różnych przestępców, którzy byli już karani, oraz 23,000 kobiet wolnego życia. Oprócz tego co rok 38,000 osób ulega karom policyjnym za pijaństwo.

Wystawa paryska.

*** Z wystawy powszechnej. Na polu Marsowem ustawiają właśnie olbrzymi zegar wieżowy, mający funkcyonować podczas wystawy. Średnica tarczy wynosi 1 metr 30 centymetrów, cyfry (rzymskie) wysokie są na 22 centymetrów. Do wygłaszania godzin zastosowano ośm dzwonów o harmonijnie dobranych dźwiękach.

*** Koszta wystawy powszechnej w Paryżu, ponosi wyłącznie skarb rzeczypospolitej francuskiej, a rozporządzeniem funduszów na ten cel przeznaczonych zajmuje się ministeryum handlu, któremu podlega generalny komisoryat i wszystkie inne komisye wystawy. Uchwalona przez państwo na cele wystawy suma wynosi 35,313.000 franków, a ponieważ spodziewany dochód obliczono w przybliżeniu na 19,235.000 franków, przeto pozostaje suma około 16,000.000 franków, przedstawiająca właściwe koszta wystawy, które jednak z powodu budynków na „Trocadero,“ musiały być podwyższone o trzy miliony franków.

Jubileusz J. I. Kraszewskiego.

*** Dla uczczenia jubileuszu Kraszewskiego wydana ma być osobna książka, w której rozmaici autorowie będą pisali wyłącznie tylko o znakomitym powieściopisarzu. Redakcya tego dziełka, która ma się pojawić w Warszawie, już jest złożona. Należą do niej: Chmielowski, Kaszewski, Korotyński, Korzon, Lewestam, Oskierko, Pawiński, Ad. Pług, Skimborowicz, Struve, Wojcicki, a następujący literaci przyrzekli swoje współpracownictwo, obiecując opracować pewne działy: Bądzkiewicz, Podróże po kraju; Bogusławski dramata; Chmielowski, Pierwszy okres ogólnej działalności Kraszewskiego; Gerson, Ikonoteka, Sztuka u Słowian, Kartki z podróży; Gloger, Czasy szkolne w Białej; Henkiel, Powieści obyczajowe; Jarochowski, Powieści historyczne; Karłowicz, historya Litwy; Kaszewski, Powieści ludowe; Kirkor, Historya Wilna; Korotyński, Epika i Liryka; Korzon, Powieści historyczne; Kraushaar, Poglądy Kraszewskiego na kwestyę żydów w Polsce; Lewestam, Studya i krytyki literackie; Lubowski, powieści obyczajowe; Morzkowska (Marrené), Powieści obyczajowe; Nehring, Powieści historyczne; Orzeszkowa, Powieści obyczajowe; Pawiński, Powieści historyczne; Pietkiewicz, (Ad. Pług), Życiorys; Plebański, Pamiętniki historyczne wydane przez Kraszewskiego; Prusinowski, Pobyt Kraszewskiego w Żytomierzu; Skimborowicz, Bibliografia pism Kraszewskiego; Spasowicz, Redakcya Athenaeum w Wilnie; Struve, Pisma i poglądy filozoficzne Kraszewskiego; Sulicki, Redakcya „Gazety Codziennej Polskiej;“ Wojcicki, Projekt Starożytności Polskich.

ROZMAITOŚCI

*** Przed jednym z sędziów pokoju miasta Warszawy stanął w tych dniach czterdziestoletni wyrobnik, o wybladłej lecz przyjemnej twarzy, widocznie znękany przeciwnościami losu, oskarżony o usiłowanie kradzieży.

Widziano go wchodzącego do sklepiku z wiktuałami w chwili, gdy nikogo w nim nie było i chwytającego bochenek chleba.

Następnie jednak rzucił chleb i wybiegł czemprędzej.

Pogonił za nim właściciel sklepiku i schwycił na ulicy.

Właściciel utrzymywał, iż odgłos kroków jego w sąsiednim pokoju spłoszył winowajcę.

Przeciwnie podsądny, nie zapierając samego faktu, twierdził, iż „coś go ruszyło, jakiś strach go przejął, gdyż pierwszy raz w życiu kradł, więc chociaż był bardzo głodny, gdyż od rana nic nie jadł, dał pokój kradzieży i rzucił trzymany już w ręku bochenek.“

Świadek, który stojąc na ulicy, obserwował podsądnego, zeznał, iż widział tylko jak brał chleb, a następnie go rzucił, nie wie jednakże, z jakiego powodu to uczynił, nie wie również, czy podsądny widział, że ktoś z ulicy go obserwuje.

Obrońca podsądnego, adwokat Antoni Pilecki zwrócił uwagę sędziego, iż przyznanie mniemanego winowajcy należy wziąć w całości, że przeciwko twierdzeniu jego, iż dobrowolnie rzucił chleb, walczy tylko bardzo nieuzasadnione zeznanie właściciela sklepiku, któremu w żaden sposób wiary dać nie można; że o podsądnym dobrze przemawia ten fakt, iż do czterdziestego roku życia nigdy nie splamił się przywłaszczeniem cudzej własności; żądał przeto obrońca, aby sędzia zastosował do jego klienta §. 17 ustawy o karach wymierzanych przez sędziów pokoju, który orzeka, iż usiłowanie, wstrzymane z własnej woli obwinionego, nie ulega karze.

Sędzia, przychylając się w zupełności do motywów obrony, podsądnego od wszelkiej odpowiedzialności uwolnił.

*** Rzadki wypadek zatrucia, jaki w tych dniach w Bydgoszczy skonstatowano, posłużyć powinien ku przestrodze wszystkich gospodyń. Przed mniej więcej rokiem zapadł nagle na zdrowiu pewien urzędnik tak ciężko, iż o wyzdrowieniu jego powątpiewano. Lekarz poznał się zrazu, że zaszło tu otrucie, przyczyny jednakże długi czas odkryć nie mógł. A w końcu zre-

widował młynek do mielenia kawy i odkrył, że mosiądz na nim się znajdujący, grynszpanem był pokryty, który go zatruwał. Pacyent po roku powrócił do zdrowia

*** Najgłębsza studnia artezyjska, jaką wykopano na kuli ziemskiej, jest w Peszcie. Wywiercono ją w tym celu, ażeby zaopatrywała całe miasto w wodę gorącą. Dotąd najgłębszą artezyjską studnią była paryska, dochodziła bowiem do 1794 stóp głębokości. Peszteńska zaś, jakkolwiek nie jest jeszcze ukończona, sięga już 3120 stóp, a zamierzają doprowadzić głębokość do 3588 stóp. Obecnie woda dobywana z tej studni ma +57 R.; po ukończeniu wiercenia ciepło wody dosięgnie +65° R. Tym sposobem miasto nie zużywając wcale paliwa, zaopatrzone będzie w gorącą wodę. Liczą, że codzienny wytrysk wody zawierać będzie około 65 tysięcy wiader.

*** Ptak ogrodnik. Czasopismo angielskie *Gardeners Chron* pod powyższym tytułem podaje opis ptaka, żyjącego w nowej Gwinei, który jest nietylko zmyślnym architektą, buduje sobie bowiem w stylu nader misternym gniazdko podobnie jak gołąb australski, ale może być nazwany także ogrodnikiem, ponieważ w około gniazdka urządza sobie ogródek. Samczyk, uścieliwszy przed gniazdkiem z mchu rodzaj murawy, codziennie składa na niej dla swej towarzyszki świeże kwiaty i grona zwłaszcza takie, które się odznaczają żywą barwą i wonią.

*** Nielada zachęta. Wiadomo, że prezydent republiki francuskiej, marszałek Mac Machon, do licznych zalet charakteru i umysłu, nie zalicza wcale daru wymowy, co podobno pochodzi głównie z wielkiego roztargnienia. Przemówienia dziwnie się zwykle nie powodzą marszałkowi. Niedawno — jak opowiada jedno z czasopism angielskich — zwiedzał Mac Mahon szkołę wojskową w St. Cyr. W szkole tej znajduje się pomiędzy uczniami murzynek. Otóż dyrektor prosił marszałka, ażeby w obecności całej szkoły przemówił w kilku słowach zachęty do biednego chłopca, który z powodu swej ciemnej cery jest przedmiotem pośmiewiska kolegów. Podczas parady więc kazał marszałek wystąpić murzynowi z szeregu. „Pan jest murzynem? — zapytał go - nieprawdaż?“ — „Tak, panie prezydencie“ odrzekło czarne biedactwo. — „To doskonale! — zawołał zachęcająco marszałek — winszuję panu szczęścia na tej drodze, bądź pan tylko zawsze takim!“

*** Ząb Kalifa. Korespondent *Bohemii* z Konstantynopola opowiada: W jakich rękach spoczywa obecnie berło Osmanów, przekonać się można z następującego epizodu z życia pałacu w Dolma Bagdże, za którego prawdziwość zaręczam. Przed dwoma tygodniami władca muzułmanów cierpiał na gwałtowny ból zębów, wezwano przeto dentystę z Pery, który uznał potrzebę wyjęcia zęba. Sułtan jednak objawił życzenie, ażeby eksperymentu tego dokonano naprzód w jego obecności na kim innym, by mógł się przekonać, czy jest połączony z wielkiemi cierpieniami. Kazał więc zawołać murzyna i lekarz musiał temu biedakowi wyjąć biały, zdrowy zupełnie ząb, ażeby tylko Kalif miał pojęcie o eksperymencie. Dokonał tego zresztą tak, że murzyn, którego uspiono narkotykiem, ani się skrzywił. Zachęciło to sułtana, lecz kiedy już był gotów poddać się operacyi, wszedł do sali Mahmud Damat pasza. Wtedy zażądał Abdul Hamid, ażeby naprzód jego kochany szwagierek dał sobie ząb wyjąć. Damat na swoje szczęście miał ząb zepsuty i chętnie zgodził się na to żądanie. Dentysta wyjął mu ten ząb, przyczem przedmiot eksperymentu ani pisnął. Znowu odwaga Kalifa poszła w górę. Usiadł na krześle i już się dentysta zabierał do swego dzieła, kiedy nagle pacyent zerwał się na równe nogi i pożegnał lekarza słowami: „Lepiej będzie, jeżeli to odłożymy do jutra.“ Od tego dnia jednak dotychczas nie wezwał już po raz drugi dentysty, lubo wiedzą o tem wszyscy, że ciągle jeszcze bardzo cierpi na zęby.

*** Przed kilkoma miesiącami w klubach londyńskich niemałego hałasu narobiła pogłoska podawana sobie z ust do ust z miną tajemniczą i wielce dyplomatyczną.

Było to w czasie, gdy królowa Wiktorya zapowiedziała Beaconsfieldowi swą łaskawą wizytę w zamku Hughenden; ten fakt doniosły w etykietalnych sferach dworskich stał się obfitym materyałem rozmaitych kombinacyi i przerozmaitych wniosków.

W klubach wrzało, — szepty, półsłówka, domysły, przypuszczenia zajmowały ciekawym lordom długie wieczory.

Złe języki urobiły wreszcie całą plotkę.

Któryś ze starych przeciwników Disraelego uknuł na poczekaniu następującą intrygę:

— Rzecz jasna jak słońce — mówił w zaufanem kółku znajomych i przyjaciół — ten demonstracyjny objaw łaski to nic innego, jak zapowiedź nowego... no, zgadujecie? — maryażu. Beaconsfield wdowiec, królowa wdowa — wspólny stan, wzajemne sympatye, to-owo, wszakże takie rzeczy widzieliśmy już w historyi.

— Eh! gdzieżby znowu — powiadano — ale „dyabeł nie śpi“.

Jakiś młody lordzik, ciekawy i odważniejszy od innych, podjął się wybadać pod tym względem kanclerza.

Przy nadarzonej sposobności spytał go z uśmiechem:

— Czy prawda, że wasza ekscelencya zamierzasz wejść w powtórne związki małeżńskie?

Disraeli spojrzał badawczo na pytającego i odrzekł patetycznym głosem:

— Dla mnie w całej Wielkiej Brytanii jest tylko jedna dama, którą mógłbym poślubić...

— Ahm? — pomyślał młody lord — wiemy już o co chodzi!

Tego samego wieczoru w klubie powiadano sobie, zawsze jeszcze z miną niedowierzającą i ze złośliwym uśmiechem na ustach, iż pierwszy minister nie zapiera się nawet pewnych illuzyi, które mu w chwilach wolnych od spraw politycznych — zaprószyły głowę.

Stało się wkrótce, że intryga nabrała prawdopodobieństwa, z dworskiej plotki zamieniła się na — rzeczywistość

Dowiedziano się bowiem, iż jedna z najbliższych i najzaufańszych powiernic królowej, w tajemniczej misyi wyjeżdżała do Hughenden, rezydencyi kanclerza.

— To nie żarty! — powiadano już na seryo — to się coś knuje ważniejszego dla całej Anglii.

I zaczęto szeptać tak głośno, iż nareszcie plotka doszła do uszu Beaconsfielda.

Jako prawdziwy gentleman, lord minister nie mógł zcierpieć, aby przez niego honor kobiety był narażony, a tem więcej honor królowej — postanowił wyjaśnić wszystkie tajemnicze pozory, które zdawały się stwierdzać domysły ciekawych i zdradził właściwy cel odwiedzin lady E., przyjaciółki królowej w Hughenden.

Oto kanclerzowi chodziło o potrzebne instrukcye kucharzom co do przyrządzenia potraw ulubionych przez królowę, a któż je lepiej i trafniej mógł udzielić, jeśli nie przyboczna lady, najpierwsza dama dworu i nieodstępna towarzyszka monarchini, znająca wszystkie jej gusta gastronomiczne?

Przekonano się ze wstydem, że z myszy zrobiono słonia.

Wszelako co się tyczy owego ideału, jedynego w całej Wielkiej Brytanii, o którym kanclerz w chwilach prywatnych marzy — nie dowiedziano się dotychczas.

Może o nim kiedy romansopisarz Disraeli opowie — zdradzając tajemnicę kanclerza Beaconsfielda.

*** Czy chcecie wiedzieć, jak pojmują nasi sąsiedzi z nad Sprei „wymianę usług międzynarodowych...?“

Oto co pisze jeden z dzienników berlińskich:

„Wystawa paryzka będzie, o ile się zdaje, obesłaną i przez następujących... złodziejów. Jeden z najzręczniejszych tutejszych kieszonkowych złodziejów, z profesyi fabrykant cygar, stawił się w tych dniach w berlińskiem prezydyum policyi, żądając wydania paszportu do Paryża...

„Francuzi (tak konkluduje ów dziennik) tyle razy przysyłali tego rodzaju ludzi do nas w odwiedziny, że nie powinni się gniewać za... rewizytę.“

Glück auf! dodajmy od siebie.

Rząd niemiecki w obawie konkurencyi zagranicznej, zabronił przemysłowcom swoim stanąć do apelu na wielkiej wystawie świata, nie przewidywał zapewne, że kieszonkowi przemysłowcy obejdą się bez tego pozwolenia i na własną rękę pracować będą na chwałę... niemieckiego przemysłu.

*** Tunel św. Gotarda. Fatalne wiadomości o stanie przedsiębiorstwa tunelu św. Gotarda podają ostatnie dzienniki szwajcarskie. Już od dawna wyrażono ze strony kompetentnej obawę, opartą na dokładnem przestudyowaniu stosunków geologicznych góry tunelowej, że łatwo być może, iż robotnicy, przebijając pokłady kamienia, nagle natrafią na jezioro, które smutny kres położy całemu przedsiębiorstwu. Przedsiębiorcy jednak mało zważali na głosy tej przestrogi, przypisując je niechęci swych współzawodników. Tymczasem najnowsze sprawozdanie o stanie robót w tunelu, wypracowane dla szwajcarskiej Rady związkowej, zaznacza, że już w styczniu na podstawie dalszych wierceń przyszli inżynierowie do przekonania, iż coraz to spłaszczające się pokłady każą wnosić o bliskości podziemnego łożyska wód. Dalsze badania potwierdziły to przypuszczenie, a teraz jak się zdaje tylko warstwa pareset metrów gruba oddziela jeszcze robotników w tunelu od jeziora. Już nawet coraz to częściej zaczynają się skały usuwać i kruszyć pod świdrami parowemi, słowem, olbrzymiemu przedsięwzięciu zagraża zupełne niepowodzenie.

MOSKIEWSKI SĘDZIA.

Nowella.

Mikołaj Iwanowicz Wołkow, prezes sądu w Twerze, słusznie uważanym był za jednego z najsprawiedliwszych sędziów w obszernem moskiewskiem państwie. Powierzchowność zupełnie odpowiadała wewnętrznym jego przymiotom: wysoki, silnie zbudowany, z przykrem wejrzeniem, oczy jego bowiem znikały prawie w cieniu rozłożystych rudych brwi; pod względem moralnym odznaczał się, jak już nadmieniliśmy, niewzruszoną sprawiedliwością, a obok wielkiej uczciwości charakteru, był energicznym służbistą, niedostępnym dla niższych stopniem i urzędem, przedewszystkiem zaś zarozumiałym do najwyższego stopnia.

Zleby się był wybrał, ktoby chciał krytykować jego orzeczenia i decyzye, a apelacyę od wydawanych przez siebie wyroków poczytywał za osobistą swoją obrazę. On, prezes izby sądowej, nie mógł się mylić! Wyroki jego, oparte na głębokiej rozwadze, były również nieomylne i niewzruszone jak ukazy carskie...

Mikołaj Iwanowicz, prawdziwy typ moskiewskiego dygnitarza prowincyonalnego, od wielu już lat był wdowcem; z małżeństwa tego pozostała mu jedyna córka, którą uwielbiał.

Nadieżda zasługiwała w pełni na to uwielbienie; dobra, miła i łagodna, była rozweseleniem i rozkoszą ojcowskiego domu; że zaś obok zalet serca nie brakło jej i zewnętrznych wdzięków, a wiedziano przytem iż prezes posiadał znaczny majątek, łatwo się domyśleć, że liczne grono wielbicieli otaczało zwykle nadobną jedynaczkę.

Ale Mikołaj Iwanowicz nie spieszył się wcale z wydaniem córki za mąż, a i Nadieżda, na teraz przynajmniej, nie zdawała się myśleć o rozłące ze swym ojcem.

Baczniejsze jednak oko dostrzedz by mogło, że młoda panienka wielce się rumieniła, ilekroć przychodził do jej ojca Andrzej Zuljew, sekretarz gubernatora cywilnego, a przychodził, trzeba przyznać, dość często.

Bez wątpienia, tak częstych odwiedzin wymagały sprawy urzędowe, co do których Zuliew komunikował prezesowi sądu ustne zlecenia i instrukcyje gubernatora, można przecież przypuszczać, bez obawy narażenia się na zarzut obmowy, że wdzięki siedmnastoletniej Nadieżdy były silnym magnesem dla młodego sekretarza, a dwudziesto-pięcioletni Andrzej, o jasnem i ożywionem spojrzeniu, zdani m panny Wołkow, nie liczył się do rzędu mniej pożądanych gości.

Na nieszczęście, Mikołaj Iwanowicz Wołkow inaczej zupełnie zapatrywał się na ów serdeczny stosunek.

Wielokrotnie już oświadczył „wyraźnie“, a wiedziano powszechnie jak nieodwołalnego znaczenia słowo to nabierało w jego ustach, że jeżeli kiedykolwiek zdecyduje się na rozłączenie się z córką, wyda ją za mąż nie inaczej, jak tylko bardzo bogato, albo bardzo arystokratycznie.

Otóż, całym majątkiem Andrzeja, była przyszła karyera urzędowa, poparta protekcyą gubernatora; co zaś do pochodzenia, nie było o czem i mówić, gdyż dopiero ojciec jego wykupił się z podddaństwa.

Nadieżda nie mogła pomyśleć o tych przeszkodach bez westchnienia; Andrzej, który bez porównania częściej i dłużej zastanawiał się nad niemi, wzdychał jeszcze bardziej.

W jego wieku jednak, nie zwykło się zrażać pierwszem zaraz niepowodzeniem i nie braknie nigdy ochoty do zwalczenia przeszkód, chociażby pozornie niepokona-

nych; przed poddaniem się przeto rozpaczy, postanowił poprzednio wypróbować wszelkich możliwych środków, a przedewszystkiem należało przekonać się, czy, o czem dotychczas śmiał marzyć zaledwie, Nadieżda równą wzajemnością odpłaca gorące jego uczucia. Odpowiedź uzyskał zadowalniającą, ale jednocześnie młode dziewczę oświadczyło, że nigdy nie rozrządzi swym losem wbrew woli ojca i że tylko za zezwoleniem jego odda wraz z sercem i rękę swą ukochanemu.

Przez trzy dni następne, Andrzej Zuliew chodził jak bez głowy, bo czyż podobna wymyśleć jaki środek na przełamanie uporu dumnego sędziego?.. Po trzech dniach przecież rozmyślił się i rzekł do siebie:

— Cóż znowu! dopóki głowa na karku, nie ma co jeszcze rozpaczać!...

Mikołaj Iwanowicz bywał bardzo często u gubernatora, który przyjmował go po przyjacielsku, lubił z nim pogawędzić o dawnych czasach, gdy razem służyli w ministerstwie, a długimi wieczorami z największą przyjemnością grywał z nim w karty.

W kilka dni po wyżej opisanem porozumieniu się dwojga zakochanych, gubernator z większą niż kiedykolwiek uprzejmością traktował swego gościa.

— Jaśnie wielmożny pan dzisiaj, jak widzę, w doskonałym humorze? — zagadnął Wołkow, biorąc karty do rąk.

— Rzeczywiście, mam dziś w głowie pewien plan, spełnienie którego byłoby prawdziwem szczęściem dla mnie.

— A wolno zapytać, co to za plan?

— Właśnie chciałem ci go wyjawić, bo ty jeden tylko, stary mój przyjacielu, musisz mi dopomódz do jego urzeczywistnienia.

— Słucham, wasze prewoschoditelstwo, i jak zawsze gotów jestem wszystko uczynić co może przyjemnem być jaśnie wielmożnemu panu.

— Wybornie! Otóż trzeba ci wiedzieć, kochany Mikołaju Iwanowiczu, że tu w naszym Twerze jest dwoje młodych ludzi zakochanych w sobie i pogrążonych w rozpaczy, nie mają bowiem nadziei, aby mogli się kiedyś połączyć. A dodać muszę, że byłaby z nich najpiękniejsza, najlepiej dobrana para na całą gubernię.

W tem miejscu gubernator przerwał i zaczął rozdawać karty.

— I cóż dalej? — zapytał sędzia, z pewnym niepokojem w głosie.

— Co dalej? Albożnie odgadłeś jeszcze, że mam na myśli twoją czarującą Nadieżdę i mego protegowanego Andrzeja? Przyznaj sam, że oboje jakby stworzeni dla siebie.

Mikołaj Iwanowicz podniósł się dumnie.

— Jaśnie wielmożny pan — rzekł z powagą — wspomniał o własnem swem szczęściu. Jakkolwiek trudno mi pojąć, jaki związek mieć może zaślubienie mej córki przez pana Andrzeja Zuliew ze szczęściem waszego prewoschoditielstwa, przykro mi bardzo, że pod tym względem nie mogę czynem stwierdzić najlepszych moich chęci. Dopóki ja żyję, Nadieżda nie zostanie żoną poddańczuka, a zresztą, aby krótko rzecz zakończyć, mam honor oświadczyć Waszemu prewoschoditelstwu, że moja córka jest narzeczoną hrabiego Tegiszewa.

Lekki szmer w drugim końcu salonu przerwał rozmowę. Był to Andrzej Zuliew, ukryty z rozkazu gubernatora, po za portjerą, który usłyszawszy swój wyrok, zapomniał o koniecznej ostrożności i wybiegł pospiesznie do swego mieszkania.

Straszna boleść go ogarnęła.

— Jakto! — zawołał — Nadieżda narzeczoną tego rozpustnika, tego marnotrawcy, Tegiszewa! Do tego więc stopnia zaślepionym jest stary Wołkow!... Nie! nie dopuszczę do podobnej zbrodni!.. nie oddam jeszcze za wygraną! gubernator mi dopomoże, a Wołkow, przez wdzięczność, sam musi oddać mi swoją córkę!

Miłość, napotykając na swej drodze przeszkody, staje się niewyczerpaną w pomysłach.

Znowu kilka dni upłynęło, sędzia grał znowu w karty z gubernatorem, uprzejmym jak zawsze, i widocznie niepamiętającym już o owem cierpkiem odrzuceniu swej propozycyi.

Nagle, wśród najbardziej interesującej gry, gubernator położył karty i rzekł, jakby sobie coś przypomniał:

— Ale, prawda! kochany Mikołaju Iwanowiczu, możebyśmy pogadali cokolwiek o ważniejszych rzeczach?

— Jestem na rozkazy Waszego przewoschoditelstwa.

— Posłuchaj mnie, stary przyjacielu. Wiesz że uważam cię za jednego z najuczciwszych, najenergiczniejszych, najbezstronniejszych sędziów na świecie.

Zdaje mi się — odparł Wołkow — że zasłużyłem sobie na podobną opinię, nie rozumiem jednak w jakim celu jaśnie wielmożny pan.....

— Uwierzysz mi przynajmniej, że nie mam zamiaru ubliżyć ci wzmianką o podnoszonych przeciwko tobie zarzutach i że powodowany jedynie przyjaźnią, chciałem cię uprzedzić, abyś zdołał zapobiedz rozsiewanym pogłoskom....

— Jakie zarzuty?.. co za pogłoski?... — zapytał z niepokojem sędzia.

— Wyobraź sobie, mój kochany, zarzucają ci, że nie zwracasz już należytej uwagi na przebieg spraw w sądzie; że nie czytając, podpisujesz wyroki, jakie przedstawia ci twój strapczyj, Porfiryj Suryn, i że z tego powodu wiele osób zostało mocno pokrzywdzonych.

— Co za ohydna potwarz! — zawołał sędzia. — I któż to ośmielił się tak mnie oskarzyć.

— Oh! skarg jest mnóstwo; zaraz sam się przekonasz... Panie Zuliew! proszę o te papiery.

Za chwilę ukazał się Andrzej z plikiem papierów, i Mikołaj Iwanowicz na własne oczy przekonał się, że z kilkudziesięciu skarg podanych do gubernatora, prawie wszystkie jednobrzmiący stawiały zarzut, iż prezes sądu z bezprzykładną łatwowiernością podpisuje wszystko, co mu przedstawia jego faworyt, strapczyj Suryn, który pochlebstwem i nadskakiwaniem umiał zjednać sobie jego względy.

— I cóż wy na to, Mikołaju Iwanowiczu? — zapytał gubernator, a nie otrzymując odpowiedzi, mówił dalej surowym głosem:

— Posłuchaj mnie uważnie. Musi to wszystko być prawdą, skoro nie znajdujesz nic na swoje usprawiedliwienie. Przez wzgląd na dawną naszą przyjaźń, na teraz nie zrobię z tego użytku; ale pamiętaj Wołkow, że jeżeli coś podobnego powtórzy się jeszcze, wtenczas już sam car zadecyduje, jak mam z tobą postąpić, a nie tajno ci zapewne, że taka sprawa pachnie Sybirem!

Na wzmiankę o Sybirze, sędzia odzyskał przytomność i zaczął energicznie protestować, twierdząc, że skargi te są co najmniej przesadzone, że on nigdy wyroku nie wydaje, nie zbadawszy poprzednio dokładnie całej sprawy, że jeżeli zaszedł podobny wypadek, to być może w jakiej drobiazgowej sprawie, ale że na przyszłość starać się będzie nie dopuścić i tak maleńkiej nieformalności.

— Ufam twojemu słowu, kochany Mikołaju Iwanowiczu — rzekł gubernator, żegnając go przyjacielskiem ściśnięciem ręki. — Obowiązkiem moim było przestrzedz cię, teraz ty sam czuwaj nad sobą.

Sędzia powrócił do domu w największem rozdrażnieniu. Przez całe trzy miesiące rozwinął tak sprężystą działalność, tak skrupulatnie i szczegółowo rozpatrywał każdą sprawę, że na pewno twierdzić można, iż w ciągu tego czasu najmniejszej nie dopuszczono się w jego biórze niedokładności.

Powoli jednak sztuczny ten zapał zaczął stygnąć, a dawne nałogi i przyzwyczajenia odzyskiwały swoje prawa. Wołkow perswadował sobie, że owe skargi w gruncie rzeczy, były bez znaczenia, że chciano go tylko nastraszyć, że zresztą nie ma najmniejszej podstawy nie ufać strapczemu, tem bardziej, że Porfiryj Porfiryewicz zawsze okazywał się wiernym, pokornym, usłużnym i nikt tak dobrze jak on nie umiał odgadywać myśli prezesa sądu i równie zręcznie motywować pełnych mądrości wyroków jego.

Wśród odzyskanego w ten sposób spokoju umysłu, Mikołaj Iwanowicz otrzymał urzędowe wezwanie, aby natychmiast stawił się u naczelnika gubernii.

Gubernator przyjął go w swoim gabinecie.

— Kilka miesięcy temu — przemówił groźnie, skoro tylko sędzia ukazał się na progu — ostrzegłem was, panie Wołkow, o nadużyciach jakie wam zarzucają, i zaufałem waszemu słowu, że nie powtórzą się już one więcej. Tymczasem otrzymuję świeże doniesienie, że jesteś pan niesumiennym, przedajnym sędzią, niegodnym piastować wysoką godność, jaką najjaśniejszy car i pan nasz najmiłościwiej raczył go zaszczycić.

— Wasze prewoschoditielstwo!... — szepnął przerażony Mikołaj Iwanowicz.

— Milcz pan! doniesienie opatrzone jest wiarogodnym podpisem.

— I któż to jest ten nikczemnik, co tak niegodnie czyha na moją zgubę?!

— Przeczytaj i sam się przekonaj.

Mówiąc to, gubernator podał sędziemu następujący dnos:

„Do jaśnie Wielmożnego gubernatora cywilnego gubernii Twerskiej!

Jaśnie Wielmożny pan miał słuszność czyniąc mi wyrzuty pod względem lekkiego traktowania spraw rozpatrywanych ostatniemi czasy w sądzie zostającym pod moim kierunkiem.

Ja sam czuję, że umysł mój osłabł z wiekiem i utracił dawną jasność poglądów, za czem musiał nastąpić i brak sprężystego wymiaru sprawiedliwości, i dla tego też sumienie nakazuje mi prosić Jaśnie wielmożnego Pana o uwolnienie mnie od ważnych obowiązków, do spełniania których nie posiadam obecnie odpowiednich zdolności.

Jedynem życzeniem mojem jest, aby mi wolno było, przez wzgląd na poprzednie moje zasługi, usunąć się na resztę życia do Troickiego monasteru.

Jedyną córkę moją, Nadieżdę Mikołajewną, ośmielam się najpokorniej polecić wysokim względom JW. Pana. Kara za błędy moje niechaj nie spadnie na niewinną jej głowę. Byłbym zupełnie szczęśliwym, gdyby JW. Pan raczył zezwolić na związek jej ze strapczym Porfirym Surynem, którego śmiem wskazać jako najgodniejszego i najodpowiedniejszego do zajęcia opuszczonej przezemnie posady. Mikołaj Wołkow."

Fatalny dokument wypadł z ręki osłupiałego sędziego.

— I cóż pan na to? — zapytał gubernator — czyliż autor tego raportu nie zasługuje na wiarę?

– Alež to piekielny podstęp! — zawołał Wołkow — Suryn jest nikczemnikiem zasługującym na śmierć pod knutami. To on podsunął mi ten papier do podpisania!

— Widzisz więc, że miałem słuszność zalecając ci baczność nad sobą samym. A teraz do czego przyszło? taki Suryn zazdroszcząc ci twojego stanowiska i majątku, chciał jednem i drugiem owładnąć, i w tym celu podszedł cię tak haniebnie. Ale na szczęście znalazł się zacny młodzieniec, któremu powiodło się otworzyć ci oczy, bo gdyby nie ten donos, podpisany twoją własną ręką, nigdybyś się nie wydobył ze szponów niegodziwca Suryna. Andrzej to, mój sekretarz, wmówił w niego, że ja chcę cię zgubić, i skłonił bez trudu do napisania tego raportu i uzyskania na nim twojego podpisu.

— Spodziewam się — mówił dalej łagodniejszym już głosem — że teraz nie odrzucisz już mojej prośby, kochany Mikołaju Iwanowiczu, skoro już wiesz, że Andrzej ocalił od skazy twoje dobre imię, i skoro dodasz, że przyszły zięć twój nie będzie już skromnym sekretarzem gubernatora, ale prezesem sądu, gdyż on otrzyma miejsce po tobie a tem samem będzie może lepszą partyą dla twojej córki, aniżeli jakiś tam hrabia.

Cóż myślisz? czy mam odesłać ten papier do Petersburga, czy też zająć się weselem moich dwojga protegowanych?

Cóż mógł odpowiedzieć na to biedny, skonfundowany sędzia?

W tydzień później odbył się ślub Nadieżdy z Andrzejem; sam gubernator i małżonka jego trzymali korony nad głowami ślubnej pary, a jednocześnie gościńcem wiodącym w stronę Sybiru, toczyła się kibitka, siedzący w której znany nam z opinii Porfirej Porfiryewicz Suryn, ani domyślał się nawet jak ważną rolę w życiu jego odegrał figlarny bożek miłości.

V. Vattier.

Treść Nr. 35.

str.

Między ludźmi, powieść, przez Bolesława Prusa. (c. d.) 555
Trzy bitwy i śmierć wodza przez J. S. S. (Dok.) 557
Hektor Servadac. Przygody w podróży po światach słonecznych, powieść Juliusza Verne'a. (c. d.) . 559
Sprawy szkolne. Powieść i biblioteczki dla uczniów przez Czesława Pieniążka . . . 561
Ze wsi Wiersz Karola Pieńkowskiego . 562
Panna kapitanówna, powieść, przez Marka Polnicza. (c. d.) 563
Pogadanki o Włoszech III. hr. Olgi Komorowskiej. (Dok.) 564
Tydzień lwowski 566
Teatr przez J. T. 567
Wiadomości z kraju i ze świata . . 568
Rozmaitości. 568
Moskiewski sędzia. Nowella przez V. Vattier. 569

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) **Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.**